12. 11. 72

46 (782) Rok XV Cena 1.50 zł

55 ROCZNICA WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA

SZTURM TRWA

Nowa epoka rodziła się w huku armat i strzałów karabinowych. Zwiastowała ją salwa „Aurory". Do szturmu szły masy ludowe: robotnicy, chłopi, żołnierze i marynarze. Ich walką kierowała partia — — czołowy oddział klasy robotniczej i pracującego chłopstwa.

ODGŁOSY

TYGODNIK SPOŁECZNO • KULTURALNY

Strzępy wrażeń. Zmurszałe wiatraki przy drogach, rozwłóczący się nad polami swąd kartoflanych łęgów. Mgła skłębiona w kolejowych wąwozach.

Ludzie. Pytani o Marchewki, wyszczerzali się w uśmiechu. Patrząc na czarną redakcyjną Wołgę, próbowali trafić:

— Sąd?

— Prokuratura?

— Milicja?

Na stacji Chorzew-Siemkowice wyjąłem legitymację i kolejarzom zrobiło się lżej. Przywołany z dworu zawiadowca, Marian Karpas, człowiek odznaczający się specyficznym poczuciem humoru, wydał swoją opinię:

— Na kolei, panie szefie, wszystko gra, ino w szczegółach nie za mocno.

KOMU RADOŚĆ Z OSPAŁYCH POCIĄGÓW

ANDRZEJ MAKOWIECKI

(Część druga, która powinna być w zasadzie częścią pierwszą)

Papierosy. I rozwinął swoją skrzydlatą myśl... Ci z Marchewek, kolejowe rabuśniki, poszli siedzieć. Ale przykład — pewne gesty, metody — pozostał. Wszystko przez ten tłok na torach. Jak się puści dwa pociągi, dla trzeciego nie ma już miejsca. Musi stać pod semaforem. A licho nie śpi, złodziej swego pilnuje, tak? Niedawno patrzą — dziewięć wagonów rozprutych! I to nie na żadnym pustym polu, tylko tuż przy stacji. W jednych opony samochodowe, w innych woda mineralna. Ziemniaki, kapusta, brukiew... Niby nic nie brakuje. Ale brakuje dwóch telewizorów, tak? No to psy poszły świeżym tropem, szorując nosami po ziemi. Wpadły do obejścia Antoniego Zasady, pracownika PKP. Miał ten gość stertę siana w stodole i skromny kuferek w domu. W sianie i w kuferku spała sobie grzecznie polska telewizja. Dostał podobnież półtora roku. Słusznie czy niesłusznie? Raczej, panie tego, słusznie! Bo złodziejstwo musi być ukarane, tak?...

• ★ •

Nie widać tej wioski z szosy, która wlecze się przez las. Zbierający grzyby mężczyzna w podziurawionym kolejarskim ubraniu, który najpierw puścił trochę farby, a później zaciął się w milczeniu — ów dróżnik — nie dróżnik, chłop — nie chłop, opuszczający mnie bez słowa pożegnania — zrobił przecież w końcu drobny, mimowolny gest, wskazując ręką ścieżkę pomiędzy szpalerem jesiennych drzew.

Wyboje.

Staw, gdzie pławią się stadka białych gęsi.

Parę słomianych domków przycupniętych do jałowej gleby.

Coś jak gdyby fundamenty murowanej willi, którą — jak się później miało okazać — zaczął wiosną ubiegłego roku stawiać Wlażlak „za kradzione", i której jesienią tegoż roku nie zdążył postawić „przez kradzione", a chełpił się przed ludźmi do ostatniej chwili, jak wielkie panisko.

Puste, biegnące pomiędzy zagrodami uliczki.

Czujne, ludzkie, spojrzenie z uchylonych drzwi.

— Gdzie jest sołtys?, — pytam ukrytego za drzewem, kilkunastoletniego chłopaka.

— Kto?

— Sołtys!

— Jaki sołtys?

— Ten, co rządzi.

— Tu żaden sołtys nie rządzi.

— Więc kto rządzi?

— Radny rządzi.

— A gdzie on mieszka?

— Tam mieszka. — Wytyka palcem pobliską, zapuszczoną chałupę.

— Zastałem radnego? — pytam w tej chałupie.

— W pracy.

— A kiedy wraca?

— Wieczorem.

— To kto tu rządzi?

— Nikt nie rządzi.

Próbuję wejść do środka, ażeby wyjaśnić tajemnicę nazwiska radnego, który — informuje o tym przybita do ściany tablica — zowie się **Bolesław Marchewka.** Kto komu zawdzięcza to poczciwie brzmiące imię — wieś radnemu, czy też radny wsi?

Dalszy ciąg na str. 4

ANASTAS MIKOJAN

Anastas Iwanowicz Mikojan urodził się 25 listopada 1895 roku we wsi Sanain, ówczesnej gubernii tyfliskiej. Ukończył ormiańskie seminarium duchowne w Tyflisie. Do partii komunistycznej wstąpił w 1915 roku.

Uczestnik Rewolucji na Kaukazie, w latach wojny domowej pełnił wiele funkcji partyjnych i państwowych. Od 1923 roku był członkiem KC Partii, od 1935 roku — członkiem Biura Politycznego, a od 1952 roku — członkiem Prezydium KC PZPR. W latach 1964–65 był przewodniczącym Rady Najwyższej ZSRR.

W ubiegłym roku ukazał się w Moskwie pierwszy tom pamiętników Anastasa I. Mikojana pt. „Szlakiem walki", w którym autor

GŁÓD

omawia swoją działalność w okresie od 1917 do 1920 roku. Od września br. miesięcznik „Nowyj Mir" publikuje rozdziały drugiego tomu wspomnień A. I. Mikojana. Tom ten nosi tytuł „W Niżnym Nowgorodie".

A. I. Mikojana skierowano do pracy w Niżnym Nowgorodie latem 1920 roku. Publikowany dziś fragment pochodzi z tomu pierwszego wspomnień „Szlakiem walki".

Całość pt. „Głód" czytaj na str. 5

KAMIENNA DZIEWCZYNA

FRAGMENT POWIEŚCI WANDY KARCZEWSKIEJ

Filip przyszedł kiedyś do mnie przed spaniem, usiadł w swojej długiej nocnej koszuli w nogach mojego łóżka i powiedział, Maja, znajdźmy tę dziewczynę.

— Jaką dziewczynę? — zapytałam.

— No tę kamienną, którą ojciec wykuł w zeszłym roku, a mama tak się jej żałośnie przyglądała i —— i potem zniknęła. To znaczy ta dziewczyna skrzydlata z kamienia zniknęła, nie mama. Mówiłem Szymonowi, on nie chce szukać, jego — powiada — obchodzą żywi ludzie, nie z martwego kamienia.

Zgodziłam się. Podzieliliśmy rejon poszukiwań między siebie na wschód, zachód, północ i południe. Jeden sektor poszukiwań obejmował cmentarz. Cmentarza ani ja, ani Filip nie baliśmy się nigdy, Szymon zresztą też nie, tylko że on tam z nami, ani na łęgi, nad rzekę nie chodził. Szymon miał swoje własne ścieżki. Jego ulubione miejsce to rynek, targowisko, gdzie kłębiło się życie, tęgie baby z koszami, sumiastowąse chłopy, konie, ptaki, ryby, on to właśnie lubił rysować, raz nawet ojciec przyłapał go w piwiarni, jak się przyglądał piwo-

Dalszy ciąg na str. 8

ANDRZEJ GRUN — FRYZURY

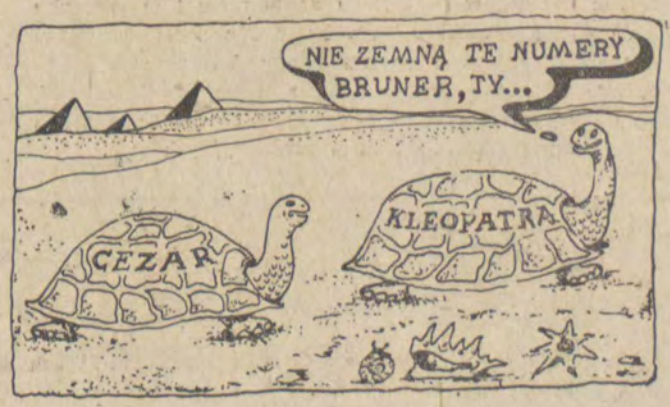

SZTURM TRWA

Nowa epoka rodziła się w walce. Po raz pierwszy w dziejach ludzkości do tworzenia nowej formacji społecznej przystąpiono zgodnie z naukowymi założeniami socjalizmu. Z rewolucyjnego zamieszania wyłaniał się nowy kształt władzy: RADY ROBOTNICZYCH i CHŁOPSKICH DELEGATÓW.

Rewolucyjne masy Rosji prowadzili do zwycięstwa bolszewicy, bogatsi o doświadczenia rewolucji 1905 roku. Pod ich kierownictwem robotnicy i chłopi pokonali kontrrewolucję, zwyciężyli interwentów, skutecznie walczyli z głodem i epidemiami, przystąpili do odbudowy zrujnowanego wojnami kraju. Nie byli w tej walce sami. Rewolucję popierała cała postępowa ludzkość. Ale to był dopiero początek drogi. Szturm przeciw staremu światu dopiero się zaczął.

WIELKA SOCJALISTYCZNA REWOLUCJA PAŹDZIERNIKOWA przyniosła wyzwolenie wielu narodom. Przyniosła niepodległość i narodowi polskiemu, po przeszło wiekowej niewoli. Stała się przykładem dla wielu innych narodów. Zapoczątkowała wielki proces wyzwalania się narodów Afryki, Azji i Ameryki Południowej, zwiastowała kres kolonializmu i imperializmu.

Co roku w listopadzie, kiedy cała postępowa ludzkość czci kolejną rocznicę WIELKIEGO PAŹDZIERNIKA, przypominamy sobie dzieje pierwszej zwycięskiej rewolucji socjalistycznej, dzieje pierwszego na świecie państwa socjalistycznego, aby nie tylko uświadomić przebytą drogę, ale aby tym wyraźniej zobaczyć przyszłość, uświadomić sobie ogrom czekającej nas pracy przy budowie nowego społeczeństwa. To właśnie warunki ustroju socjalistycznego umożliwiły narodom Związku Radzieckiego pokonanie zapóźnień, dogonienie, a w wielu dziedzinach prześcignięcie przodujących krajów świata.

Dziś — pierwsze w dziejach świata socjalistyczne mocarstwo — stanowi gwarancję nie tylko pokoju na świecie, ale również gwarancję rozwoju społecznego w krajach wyzwalających się spod panowania kolonialnego. Związek Radziecki przychodzi z pomocą gospodarczą, naukową i techniczną młodym społecznościom, budzącym się do nowego, samodzielnego życia.

Przed 55 laty, kiedy pod kierownictwem bolszewików całą władzę przejęli robotnicy i chłopi Rosji, unieważnili wszelkie układy zawarte przez carat i przyznali narodowi polskiemu prawo do samostanowienia o swoim dalszym losie. Rewolucja Październikowa przyniosła Polsce niepodległość. Przykład pierwszego państwa robotników i chłopów zagrzewał masy pracujące Polski do walki o swoje prawa polityczne i społeczne. Dzięki krwawej ofierze radzieckich żołnierzy pod Moskwą, Stalingradem i Leningradem mogliśmy wraz z całą Europą w maju 1945 roku świętować zakończenie drugiej wojny światowej. Polska była znów niepodległa, a troskę o jej dalsze losy wzięła w swoje ręce klasa robotnicza. Z pomocą przy odbudowie zniszczonego kraju pośpieszyły narody Związku Radzieckiego.

Dziś z ufnością patrzymy w przyszłość, pewni przyjaźni i pomocy narodów ZSRR. Powinniśmy jednak pamiętać, że świat nie jest jeszcze wolny od niebezpieczeństwa wojny. A będzie ono groziło ludzkości tak długo, jak długo istnieć będzie imperializm, nieuchronnie rodzący wojny. Dlatego stale naszym pierwszym i naczelnym zadaniem powinno być utrwalanie przyjaźni i sojuszu ze Związkiem Radzieckim i innymi krajami socjalistycznymi, bo tylko potęga Kraju Rad, tylko jedność obozu socjalistycznego jest w stanie uchronić świat przed groźbą nowej, wojennej awantury. Drugim naszym zadaniem powinno być rozwijanie gospodarczego i społecznego potencjału kraju, który stanowi ważne ogniwo w obozie socjalistycznym na świecie.

Szturm zapoczątkowany przed 55 laty trwa nadal. Tylko, że dziś nie jest to szturm na bastiony reakcji i kontrrewolucji. Dziś jest to szturm na to wszystko, co przeszkadza i hamuje postęp. Kraj Rad stał się wielkim placem budowy. Wyrosły miasta za kręgiem polarnym, przeobraża się Syberia, swój bieg zmieniają rzeki, nawadnia się pustynie, buduje się nowe fabryki, domy, instytuty naukowe i wyższe uczelnie. W kosmos startują rakiety ze znakiem sierpa i młota na tle kuli ziemskiej. Rodzi się społeczeństwo komunizmu.

Dokonuje się nowa rewolucja — techniczna. Rodzi się ona w huku młotów pneumatycznych, warkocie dźwigów, ciągników i w ryku samochodowych silników. Ale rodzi się też w zaciszu naukowych laboratoriów, bibliotek wyższych uczelni, w gabinetach naukowców i w pomruku maszyn matematycznych. Ta pokojowa, a przecież romantyczna i fascynująca praca nad tworzeniem nowego społeczeństwa, korzystającego w pełni z nowoczesnej techniki, może dokonywać się tylko dlatego, że 55 lat temu salwa „Aurory" zapoczątkowała szturm rewolucyjnych mas.

REZULTATY NASZEJ PRACY

UCHWAŁA Biura Politycznego KC i Prezydium Rządu o dalszym zapewnieniu stabilizacji cen detalicznych artykułów żywnościowych i podjęta w ślad za nią uchwała Rady Ministrów, stanowią istotny element konsekwentnie realizowanej polityki społeczno-gospodarczej Polskiej Zjednoczonej Partii Robotniczej. Trzeba sobie w pełni zdawać sprawę z jakich przesłanek ekonomicznych decyzja ta wynika, jakie niesie z sobą skutki społeczne, jak ważnym jest czynnikiem politycznym. (...)

Opublikowana na początku ub. roku decyzja o wprowadzeniu na dwa lata cen ustabilizowanych zakładała konieczność przyspieszenia tempa rozwoju gospodarczego dla utrzymania równowagi rynkowej. Było to zadanie tym trudniejsze, że równocześnie trzeba było stopniowo rozwiązywać narosłe problemy płacowe w wielu działach gospodarki. Dzięki słusznej, realnej polityce gospodarczej PZPR, wykonywanej konsekwentnie i z uporem, dzięki poprawie wydajności pracy i ogólnego społecznego zaangażowania w realizację polityki VII i VIII Plenum KC osiągnęliśmy sytuację, która umożliwia nie tylko dotrzymanie dwuletniego terminu stabilizacji cen, ale nawet jego przekroczenie. Jest to wydarzenie niezmiernie rzadkie w gospodarce światowej. Wydarzenie tym godniejsze uwagi, że ceny rosną w wielu państwach o znacznie większym majątku narodowym. (...)

Wykonywanie zadań gospodarczych stworzyło lepsze warunki poprawy sytuacji materialno-bytowej ludności. Ostatnie decyzje wskazują równocześnie na konieczność zwrócenia bacznej uwagi na dalszy prawidłowy i dynamiczny rozwój gospodarki. Naczelnym jej obowiązkiem jest nadal utrwalanie i umacnianie równowagi rynkowej. W bieżącym roku zanotowano wysoką nie notowaną od lat dynamikę wzrostu sprzedaży detalicznej.

Dotychczasowe pomyślne wyniki gospodarcze nie są naszym ostatnim słowem. Możliwości są znacznie większe. Osiągając coraz większe tempo rozwoju gospodarczego musimy większą uwagę zwrócić na poprawę podstawowych relacji ekonomicznych. Tylko wtedy osiągniemy wyższe efekty społeczne gospodarowania. (...)

Rys. Zb. Ziomecki („Trybuna Ludu")

WAŻNE zadania stają przed tymi działami gospodarki, które wytwarzają towary na rynek. Producenci muszą nadal wzmagać wysiłki dla maksymalnego zwiększenia dostaw towarów poszukiwanych. Obowiązkiem handlu i producentów jest bezwzględne czuwanie nad pełną zgodnością produkcji z potrzebami rynku.

Niezmiernie istotne zadania w interesie społecznym mają do spełnienia rolnicy. Solidne wywiązywanie się z nich, zwiększanie produkcji i dostarczanie jej na rynek stanowi istotny wkład do ogólnospołecznego rozwoju. Należy upowszechniać świadomość, że wobec postępującego coraz szybciej odwrotu od samozaopatrzenia wsi utrzymanie cen artykułów żywnościowych na stabilnym poziomie przynosi korzyści nie tylko mieszkańcom miast — ale także rolnikom. W handlu wiejskim zanotowano jeszcze szybsze tempo sprzedaży detalicznej niż w handlu miejskim. Obowiązkiem wsi tak, jak pracujących w miastach jest wnoszenie w odpowiednich terminach solidnego wkładu do ogólnonarodowego majątku.

W ciągu 22 miesięcy przyspieszonego marszu udowodniliśmy, że potrafimy lepiej pracować, potrafimy wyprzedzać plany, potrafimy wypracować warunki poprawy naszego życia. Zdajemy sobie przy tym sprawę, że nie wszystko możemy osiągnąć od razu. Każdy dalszy krok zależy od nas — od każdego na swoim stanowisku. Każdy kto wydajniej pracuje, kto oszczędniej gospodaruje, przyczynia się do poprawy swojego życia, swojej rodziny, całego społeczeństwa. Ma tym bardziej prawo wymagać od innych, żeby dotrzymywali mu kroku.

(„TRYBUNA LUDU")

• ★ •

W tych dniach I Sekretarz KC PZPR przebywał wśród metalowców Pruszkowa, w Zakładach „1 Maja", wchodzących w skład kombinatu „Ponar-Komo". Podczas spotkań przy warsztatach robotnicy, wyrażając zadowolenie z decyzji o stabilizacji cen, zapewniali jednocześnie I Sekretarza KC o wzmożeniu wysiłków na rzecz dodatkowej produkcji, lepszej, wydajniejszej pracy dla kraju i siebie.

W POBLIŻU

✱ WIĘCEJ MIESZKAŃ DO 1975 ROKU. Trwają prace przy wprowadzaniu w życie założeń programu modernizacji i rozwoju Łodzi. Program ten — jak wiadomo — zakłada nie tylko powstanie nowych przedsiębiorstw, ale też poprawę warunków pracy i życia w mieście, a w tym szybki rozwój budownictwa mieszkaniowego. Planowano, że do końca 1975 r. miasto otrzyma 140 tys. izb. Obecnie powstała możliwość wybudowania, w tym czasie 150 tys. izb, z 5 tys. izb w budownictwie jednorodzinnym.

W województwie w tym czasie wybuduje się 78 tys. izb. Ale i tu rysują się możliwości przekroczenia pierwotnych założeń. Przedsiębiorstwa budowlane województwa łódzkiego coraz szerzej przechodzą na prefabrykację. Pracuje już baza prefabrykacji elementów budowlanych w Srebrnej koło Łodzi. Modernizuje się bazę w Strykowie. Ich produkcja pozwoli pełniej zastąpić tradycyjne metody budowania montażem prefabrykowanych elementów budowlanych.

Przewiduje się, że przedsiębiorstwa budowlane, podległe Zjednoczeniu Budownictwa Województwa Łódzkiego, dadzą w tym roku zamiast planowanych 13,9 tys. izb — 14,2 tys.

Jak wyglądać będzie realizacja planów w przedsiębiorstwach budowlanych Łodzi?

✱ PRACUJĄ JAK W BIURZE. Opinia o pracy administracji nie jest najlepsza. Złożyło się na nią wiele czynników, a przede wszystkim zbytni formalizm w postępowaniu wielu urzędów. Mówiło się i pisało u nas aż nad to o tym, że dowód osobisty — podstawowy dokument obywatela — powinien niejednokrotnie zastępować doraźnie wydawane zaświadczenie. Tyle piękna teoria, bo praktyka niektórych urzędów nie zawsze jeszcze zgodna jest z tą teorią. Nadal żąda się zaświadczeń, mimo że wystarczyłby wypis z dowodu osobistego petenta lub jego oświadczenie.

Rady narodowe wiele czynią dla usprawnienia swojej pracy. Powołano komisje usprawnień, wiele już zmieniono i wiele jeszcze się zmieni. Jak poinformował ostatnio „Dziennik Łódzki" zmiany takie wprowadzono również w Prezydium DRN na Widzewie. Między innymi zlikwidowano 28 obowiązujących do tej pory załączników. Na wezwaniach podaje się petentom nie godzinę, w której określonego dnia mają się stawić, ale ostateczny termin i godziny urzędowania, dając zainteresowanemu możliwość wybrania najbardziej odpowiadającej mu pory do załatwienia jego sprawy. Wprowadza się też wiele innych usprawnień.

Wszystko to bardzo cieszy. Ale w moim przekonaniu, a sam czasem też bywam petentem i skrzętnie notuję opinie innych petentów — zmiany te dokonuje się jeszcze zbyt powoli. Czasem o ich powodzeniu decydują umiejętności i poziom przygotowania pracowników rad narodowych. Mimo tych zastrzeżeń jestem optymistą. Proces usprawniania pracy urzędów nie jest bowiem tylko naszym pobożnym życzeniem, ale koniecznością i musi postępować — niezależnie od tego, czy to się komuś podoba, czy nie.

✱ „SAMORZĄD ROBOTNICZY" O ŁODZI. Październikowy numer „Samorządu Robotniczego" — pisma wydawanego przez Komitet Warszawski i Warszawski Komitet Wojewódzki PZPR w Warszawie — niemal w całości poświęcono problemom Łodzi. W numerze tym ukazały się m. in. artykuły: sekretarza KŁ PZPR — B. Kapitana („Druga młodość Łodzi"), A. Wesołowskiego („Pracownik mieszkańcem"), sekretarza WKZZ w Łodzi — R. Wiśniewskiego („Związkowe formy pomocy"), dr K. Szwenberga („Swiadczenia socjalne w przemyśle lekkim") i W. Łuczaka („Na straży uprawnień samorządu").

✱ W ŚRÓDMIEŚCIU, NA BAŁUTACH I W KUTNIE odbyły się ostatnio plenarne posiedzenia instancji partyjnych. Z KD PZPR na Bałutach przeszedł do pracy w KD PZPR — Śródmieście sekretarz E. Grabowski. Na plenarnym posiedzeniu KD PZPR — Śródmieście wybrano go sekretarzem na miejsce L. Laskowskiego, który podjął studia na WSNS przy KC PZPR.

W Kutnie KP PZPR zwolnił z funkcji sekretarza H. Wośko, który przeszedł na stanowisko dyrektora w Kutnowskich Zakładach Farmaceutycznych „Polfa".

✱ DO USA I KANADY wybierają się na występy aktorzy Teatru im. St. Jaracza. Amerykańskiej i kanadyjskiej Polonii pokażą oni „Wesele" St. Wyspiańskiego oraz „Trędowatą" — inscenizację według powieści H. Mniszek.

✱ KUTNO — 2 000. Za 28 lat — jak wszystko dobrze pójdzie — Kutno będzie liczyło przeszło 50 tys. mieszkańców i da pracę blisko 30 tys. osób. Obecnie — jak informuje tygodnik „Wiadomości Kutnowskie" — w Kutnie pracuje blisko 18 tys. osób.

Zrozumiałe, że spełnienie takich założeń wymaga intensywnego rozwoju przemysłu. Przewiduje się, że pod nowe zakłady miasto da około 170 tys. ha ziemi. Powstanie też wielki węzeł komunikacji kolejowej i drogowej. (Przy tak świetlanej, komunikacyjnej przyszłości rodzi się cicha nadzieja, że może już w tym czasie z Łodzi do Kutna można będzie dojechać szybciej niż teraz).

Jak na razie Kutno bogate jest w społeczne inicjatywy. Ledwie wybudowano okazały Dom Kultury, a już położono kamień węgielny pod Powiatowy Dom Rzemiosła. Kosztować będzie przeszło 3 mln zł i powstanie ze społecznego wysiłku rzemieślników powiatu kutnowskiego.

✱ KŁOPOTLIWE PYTANIA. Ktoś już zauważył, że nie ma kłopotliwych pytań, są tylko kłopotliwe... odpowiedzi. A od takich odpowiedzi najlepiej po prostu uchylić się. I tak czynią poniektórzy. Właśnie zbliżamy się do okresu, kiedy zaczynamy wszyscy zadawać sobie jedno z kłopotliwych pytań: czy tegoroczna zima znów nas nie zaskoczy? Ludzie odpowiedzialni za przygotowania do zimy z urzędowym optymizmem twierdzą, że... nie. „Głos Robotniczy" przekazując tę opinię nie ukrywa swego... pesymizmu, stwierdzając, że wprawdzie w rejonach eksploatacji dróg państwowych przygotowano jak co roku... radiotelefony, zgromadzono piasek, chlorek wapnia i sól, ale brakuje samochodów, które byłyby zdolne do współpracy z piaskarkami i pługami. Radiotelefonami śniegu z dróg województwa nie oczyścimy.

O zimie nie myśli też PKP. Na trasie Łódź — Kutno (najgorsza trasa w kraju) kursuje „pociąg widmo", w którym nie domykają się drzwi, brakuje szyb, a wagony z czasów pierwszej wojny światowej są brudne i obskurne. Coraz gorzej dzieje się w kolejowym państwie, którego pracownicy nauczyli się brać tylko od pasażerów, nic im w zamian nie dając. I tak jest nie tylko na trasie Łódź — Kutno.

O zimie wydają się nie myśleć też pracownicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Instalacyjnego, którzy do 15 grudnia br. mają założyć instalację centralnego ogrzewania w remontowanej części Hotelu „Polonia". Bez tego nie będą mogli pracować robotnicy Miejskiego Przedsiębiorstwa Budownictwa Komunalnego nr 1. A remont „Polonii" trwa już... 4 lata.

M. RODAK

ODGŁOSY

Redaguje zespół: JERZY WAWRZAK (redaktor naczelny), KAROL BADZIAK, KONRAD FREJDLICH, ANDRZEJ GRUN (redaktor graficzny), BOGDA MADEJ, ANDRZEJ MAKOWIECKI, CELINA PALUCH (redaktor techniczny), WŁODZIMIERZ STOKOWSKI (zastępca redaktora naczelnego), MAREK WAWRZKIEWICZ, JERZY WILMAŃSKI, LUCJUSZ WŁODKOWSKI (sekretarz redakcji),

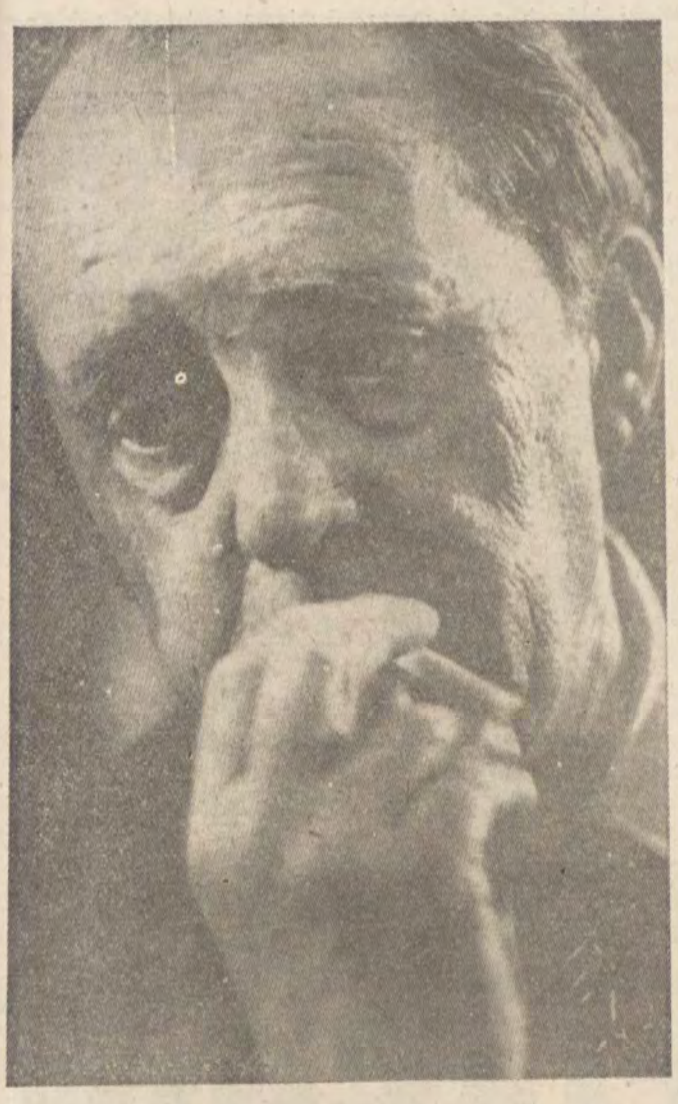

HEINRICH BÖLL

O SOBIE SAMYM

Urodziłem się w Kolonii, gdzie Ren, znużony wyrafinowanym pięknem środkoworeńskiego krajobrazu, staje się rozległą rzeką i płynie po jednostajnej równinie na spotkanie mgieł Morza Północnego; gdzie władza państwowa nigdy nie była brana zbyt serio, a władza kościelna, chociaż się przyjęła, to o ileż jednak mniej, niż to się zwykło myśleć w Niemczech; gdzie Hitlera obrzucono doniczkami, gdzie otwarcie wyśmiewano się z Goeringa, tego krwawego fircyka, który zdobył się w ciągu godziny swego pobytu w mieście na trzykrotną zmianę munduru; stałem wraz z tysiącami kolońskich uczniów ustawionych wzdłuż chodnika, kiedy przejeżdżał ulicami, obleczony w swój trzeci, śnieżnobiały mundur: przeczuwałem, że mieszczańska lekkomyślność mych rodaków uczyni ich bezsilnymi wobec nieodwracalnie nadciągającego nieszczęścia. Urodziłem się w Kolonii, która słynie ze swej gotyckiej katedry, chociaż bardziej zasługiwałyby na to romańskie kościoły; w Kolonii, która dała przytułek najstarszej w Niemczech gminie żydowskiej i rzuciła ją na pastwę losu; mieszczańskość i humor były bezsilne wobec nieszczęścia — ten humor, z którego Kolonia słynie nie mniej niż z katedry, humor przerażający w swoich oficjalnych przejawach, ale niekiedy wielki i rozumny na ulicy.

Urodziłem się w Kolonii 21 grudnia 1917 roku, w tym czasie, gdy mój ojciec, członek pospolitego ruszenia, stał jako wartownik na moście. W najcięższym, najgłodniejszym roku wojny światowej urodziło mu się ósme dziecko. Do tej pory pochował już dwóch malców. Urodziłem się w czasie, gdy mój ojciec przeklinał wojnę i durnia kajzera, którego pomnik później mi pokazał.

„Tam na szczycie — powiedział ojciec — on wciąż galopuje na Zachód na swoim źrebcu z brązu, a przecież w rzeczywistości od dawna już rąbie drwa w czyśćcu".

I teraz jeszcze kajzer galopuje na Zachód na swoim brązowym źrebcu.

Moi przodkowie ze strony ojca, majstrowie okrętowi, kilka wieków temu przybyli tutaj z Wysp Brytyjskich, gdyż byli katolikami i woleli wygnanie od państwowej religii Henryka VIII. Osiągnąwszy ziemię holenderską popłynęli w górę Renu; zawsze kochali bardziej miasto niż wieś i znalazłszy się z daleka od morza zajęli się ciesielstwem. Moi przodkowie ze strony matki byli chłopami i piwowarami, w samym swoim rdzeniu solidni i pracowici, jednakże między ich potomków wkradło się marnotrawstwo tak, że w następnym pokoleniu rodzina zubożała, ale za to na powrót odezwał się w nich dzielny robotnik, potem wszystko zaczęło znowu iść jak po grudzie i rodzice mojej matki już nie cieszyli się poważaniem, byli biedni i na nich właśnie ród wygasł.

Moje pierwsze wspomnienie: powrót do domu armii Hindenburga, karne, szare kolumny z końmi i armatami, smętnie ciągnęły obok naszych okien; siedząc na rękach matki, patrzyłem na ulicę, gdzie nie kończącym się szeregiem wlekli się żołnierze w kierunku mostów na Renie; później: warsztat mojego ojca — zapach drewna, zapach kleju, lakieru, bejcy, świeżo wyheblowane deski, szopa w głębi podwórza czynszowego domu, gdzie mieściła się pracownia. W tym domu mieszkało więcej ludzi niż w jednej wsi. Śpiewali, przeklinali, rozwieszali bieliznę na sznurach; jeszcze później: dźwięczne, niemieckie nazwy ulic, na których się bawiłem — Teutoburgerstrasse, Eburonenstrasse, Weledastrasse i wspomnienia przeprowadzek z mieszkania do mieszkania, przeprowadzek, które lubił mój ojciec — furgony meblowe, tragarze pijący piwo, smutnie kiwająca głową matka — za każdym razem przywiązywała się do nowego ogniska domowego i nigdy nie zapominała zdjąć dzbanka z ognia, zanim kawa nie zagotowała się.

Zawsze mieszkaliśmy niedaleko Renu, i dzieci zazwyczaj bawiły się na promie, w rozpadlinach starych umocnień, w zapuszczonych parkach — ogrodnicy wiecznie strajkowali; wspomnienie pierwszych pieniędzy, był to kupon z cyfrą, poręczony bankowym kontem Rockefellera — jeden bilion marek. Kupiłem zań długą pręgowaną landrynkę; żeby rozliczyć się ze swoimi pomocnikami ojciec przywoził pieniądze na taczce; w kilka lat później marka znowu ustabilizowała się i każdy fenig miał swoją wartość; szkolni koledzy żebrali u mnie na przerwach o kromkę chleba — ich ojcowie byli bezrobotni; nieporządki, strajki, czerwone sztandary — widziałem to wszystko, kiedy jechałem na rowerze do szkoły po ulicach najgęściej zaludnionych dzielnic Kolonii.

Po niewielu latach bezrobotni znaleźli swoje miejsce: zostali policjantami, żołnierzami, katami, pracownikami fabryk zbrojeniowych, albo dostali się do obozów koncentracyjnych; statystyka potwierdzała rozkwit, reichsmarki pociekły rzeką; rozliczano się z rachunków później — nami, gdy my, stając się w tym czasie nieoczekiwanie mężczyznami, staraliśmy się rozszyfrować ogarniające nas zewsząd nieszczęście, ale nie mogliśmy znaleźć właściwego kodu; suma cierpień była zbyt wielka, żeby można było ją wyegzekwować od tych nielicznych, których można było jawnie nazwać winowajcami, została reszta, która po dziś dzień nie daje się podzielić.

Pisać chciałem zawsze, od dzieciństwa chwytałem za pióro, ale dopiero później znalazłem słowa.

Przełożył: K. F.

NOBEL DLA NIEMCA

Na ten dzień Niemcy musieli czekać 43 lata, od roku 1929, kiedy to laureatem Nagrody Nobla w dziedzinie literatury został Tomasz Mann, najwybitniejszy niemiecki pisarz pierwszej połowy XX wieku, wypędzony w kilka lat później z ojczyzny, opluwany przez hitlerowską prasę, żegnany nienawiścią.

Pierwsza książka kolejnego laureata Nagrody Nobla reprezentującego niemiecką literaturę ukazała się w roku 1947, a więc w tym samym roku, gdy Mann ogłosił swe arcydzieło, „Doktora Faustusa". Nazwisko debiutującego pisarza brzmiało: Heinrich Böll. Miał za sobą pięcioletnią służbę w Wehrmachcie, dezercję z wojska, rozpoczął studia germanistyczne. I rzecz charakterystyczna, już pierwsza książka młodego pisarza, stanowiła zapowiedź przyszłych, pogłębionych poszukiwań twórczych, rozprawiał się w niej bowiem z kultem wojennego bohaterstwa. Nic też dziwnego, że twórczością swoją zwrócił uwagę „Grupy 47" złożonej z postępowych intelektualistów niemieckich, którzy po wstrząsie hitlerowskim próbowali odbudować demokrację w Niemczech, stworzyć dla niej społeczny klimat za pośrednictwem książek rozprawiających się z ponurą przeszłością. I chociaż Böll luźno tylko związał się z tą grupą, sympatyzował niewątpliwie z jej wysiłkami na rzecz przebudowy świadomości swych rodaków, w utworzonej właśnie Niemieckiej Republice Federalnej, która przez długie lata reprezentować miała politykę pogrobowców „zimnej wojny".

W roku 1960, pracując nad swą pierwszą sztuką „Łyk ziemi", stojący na uboczu bezpośrednich sporów partyjnych pisarz, wypowiedział gorzkie słowa: „Będzie to rzecz czysto satyryczna. Niestety, społeczeństwo zachodnioniemieckie bardzo trudno pobudzić do reakcji na tego rodzaju twórczość. Zaatakowane, nie stawia oporu, a to nie jest pozytywnym objawem. Nawet tak cięta satyra, jaką znajdujemy w wierszach Enzensbergera, jednego z naszych młodych poetów, nie przełamała muru obojętności czy samozadowolenia naszego czytelnika". A jednak już w rok później tom krótkich utworów Bölla stał się największym bestsellerem literackim w NRF. Dziś czasopismo hiszpańskie „ABC" informuje z okazji przyznania mu Nagrody Nobla: „Böll jest prawdopodobnie najwyżej cenionym pisarzem w Niemczech, w każdym razie jest krytyczny, walczący i polemiczny. Böll, antypruski mieszkaniec Nadrenii, wychowany w nieufności do wszelkich przejawów prusactwa, jest obecnie najulubieńszym pisarzem młodzieży niemieckiej".

Temu uznaniu dla Bölla sił postępowych w jego ojczyźnie, towarzyszyło życzliwe zainteresowanie twórczością pisarza na świecie. Kiedy w roku 1962 odwiedził Związek Radziecki zdumiony był popularnością swych książek i musiał złożyć setki autografów na wydanych właśnie powieściach: „Chleb najwcześniejszych lat", „Dom bez gospodarza", „Bilard o wpół do dziesiątej". Jednocześnie jednak w NRF wzmagały się ataki na pisarza ze strony obozu, który światopoglądowo przynajmniej, jako katolikowi, powinien być mu sojusznikiem. Był bowiem Böll już nie tylko piewcą ruin, jak na początku swej drogi pisarskiej. W twórczości jego coraz częściej pojawiały się krytyczne akcenty społeczne. Toteż czasopismo „Monat" stwierdzało piórem swego recenzenta, że autora „Zwierzeń klowna" trudno nazywać krytykiem społeczeństwa, ponieważ przedstawia on nie tyle zjawiska społeczne, ile rysuje indywidualności. Komentarze te miały osłabić siłę oddziaływania twórczości pisarza i jej wpływ na młode pokolenie młodzieży w NRF.

Pomniejszanie znaczenia Bölla przybrało na sile, odkąd nie angażujący się politycznie pisarz, zaczął jawnie występować przeciwko pewnym tęsknotom panującego wówczas obozu. W 1958 r. Böll protestował przeciwko propozycjom uzbrojenia Bundeswehry w broń atomową. Później, jeszcze nie jeden raz, wypowiadał się przeciwko ustawom wyjątkowym oraz za uznaniem granicy na Odrze i Nysie, żądał nawet uznania NRD. W „Wywiadzie udzielonym studentom" na pytanie, czy czynnik moralny stanowi nieodłączną część utworu literackiego, odpowiedział: „Chciałbym odpowiedzieć na to pytanie jednoznacznym „tak", ale boję się, że moją odpowiedzią będzie jednoznaczne „nie". Ale gdybyście mnie zapytali, czy czynnik amoralny stanowi nieodłączną cząstkę składową utworu literackiego, moją odpowiedzią byłoby także jednoznaczne „nie". Artysta zawsze w pewnym stopniu jest winowajcą i niewinnym, jest on jak dziecko, które karcą za to, czemu ono w swoim przeświadczeniu nie jest winne, a chwalą za to, czego ono nie uważa za godne pochwały".

Czy była to próba zabezpieczenia się przed atakami przeciwników? Bo przecież postawa Bölla pełna jest zaskakujących paradoksów. Ten nie angażujący się politycznie pisarz składa jednoznaczne deklaracje polityczne; choć uważa się za twórcę katolickiego, popiera wysiłki „ateistycznej" socjaldemokracji; nie umiejąc odpowiedzieć na pytanie, czym jest zło, reprezentuje niewątpliwie najbardziej moralistyczny nurt prozy niemieckiej w drugiej połowie XX wieku; choć jest piewcą prowincji i zjadliwi krytycy skłonni go są uważać za pisarza opłotków, książki jego wywierają ogromny wpływ i osiągają światowy rozgłos.

Od dziesięciu lat nazwisko Heinricha Bölla figurowało na liście kandydatów do nagrody Nobla. Pojawiły się tam też nazwiska innych pisarzy żyjących w NRF: Grassa, Lenza, Walsera, Johnsona i Enzensbergera. Wszyscy oni są albo członkami albo laureatami nagrody „Grupy 47".

19 października br. Akademia Szwedzka przyznała nagrodę Nobla Böllowi „za twórczość, która dzięki swemu szerokiemu spojrzeniu na współczesność i wrażliwemu artyzmowi podziałała odnawiająco na literaturę niemiecką. „Decyzja ta wywołała przychylne komentarze na świecie. Najbardziej zróżnicowane głosy pojawiły się w ojczyźnie laureata, co jest zasługą springerowskiej „Die Welt". Przyczynny tego nie trzeba specjalnie wyjaśniać, warto jednak może zacytować opinię szwedzkiej gazety „Dages Nyheter": „Böll nie należy do żadnej partii. Także pod każdym innym względem Brandt ani on nie kroczą we wspólnym zaprzęgu. A jednak posiadają obaj coś istotnie wspólnego: obaj postawili sobie za cel swej pracy przekreślenie dziedzictwa czasów hitlerowskich. Obaj też brzydzą się tradycjami nacjonalistycznymi i na tym tle jest oczywiste, że Böll solidaryzuje się z pojednawczymi dążeniami Brandta. Bez wątpienia jest on jednym z największych piewców teraźniejszości".

KONRAD FREJDLICH

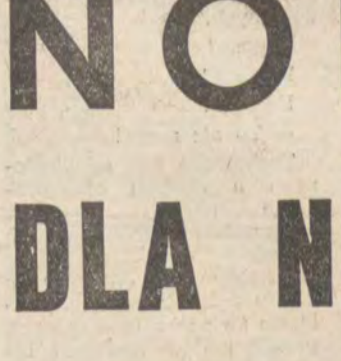

OGRANICZANIE CZY ROZSZERZANIE

Nie wiem, czy Jerzy Wilmański ganiąc mnie dobrotliwie za propozycje zmiany formuły wystaw okręgowych ZPAP („Odgłosy" Nr 44), zadał sobie trud doczytania do końca mojego felietonu. Zauważyłby wówczas, że zmiana, jaką proponowałem, prowadzi do rozszerzenia — i to bardzo znacznego — liczby plastyków wystawiających na wystawach okręgowych. Przez dopuszczenie do tych wystaw projektantów przemysłowych, architektów wnętrz, grafików użytkowych, ceramików i tych wszystkich, którzy dotąd nie mogą eksponować swojej właściwej twórczości — a szansę tę daje im jedynie marginesowo lub niedzielnie uprawiane malarstwo — ogólna ilość wystawiających na „okręgówkach" wzrosła by przynajmniej trzykrotnie. Uważam natomiast, że dotychczasowe bardzo skąpe warunki lokalowe uniemożliwiają jednoczesne — w jednym roku — wystawienie wszystkich zasługujących na to plastyków na wystawie okręgowej — stąd też rozdzielenie dorocznych prezentacji poszczególnych sekcji ZPAP na przestrzeni kilku lat, jest niestety koniecznością chwili. Uważam również nadal, że wystawy organizuje się po to, aby były — czy przynajmniej mogły być — wydarzeniami kulturalnymi i artystycznymi, a nie magazynem czy „almanachem" różności. Z tych względów model towarzyskiego fetowania na wystawach wszystkiego, co się tylko dało strząsnąć z pędzla, nie powinien być kontynuowany, skoro kłóci się z tym obecna struktura specjalności wśród plastyków oraz zdrowy rozsądek. A ponieważ mierna ilość może się przekształcić najwyżej w mierną jakość, uważam, że elastyczne zmniejszenie liczby wystawiających na poszczególnych zbiorowych ekspozycjach, umożliwi staranniejszy i bardziej rzeczowy przegląd bieżącej twórczości plastycznej. Tyle co do meritum sporu.

Jest radością piszącego, jeśli jego tekst mógł się stać dla czytelników ciekawostką, bo w tym — między innymi — realizuje się służebna rola piszącego wobec czytających. Cieszy mnie więc, że przynajmniej dla jednego Jerzego Wilmańskiego doszedłem do tego absolutu, co zauważam nie bez satysfakcji.

Z wyrazami poważania

GUSTAW ROMANOWSKI

KOMU RADOŚĆ Z OSPAŁYCH POCIĄGÓW

Dalszy ciąg ze str. 1

— Chciałbym z panią trochę porozmawiać.

— Ale tylko parę chwil!

— Panie, mam akurat pranie.

Czując, że nie sforsuję tej bariery, pytam, gdzie znajduje się zagroda Glenia.

— Jakiego Glenia?

Myślałem, że padnę trupem. Znalazłem to nazwisko w Łodzi, w aktach sprawy. Pisało wyraźnie, że mieszka w Marchewkach. Poza tym, zaledwie przed kwadransem dróżnik — nie dróżnik, chłop — nie chłop wymienił właśnie Glenia, twierdząc, że swojego czasu został on skopany i pobity do nieprzytomności przez mnogie zastępy Zjawionych.

Jednakże w tym wypadku zamiary kobiety były poczciwe. Widząc moją wściekłość, powtórzyła:

— Jakiego Glenia? Przecież jest dwóch, młody i stary...

Powiedziałem:

— Młody.

Ale nie byłem pewien, czy trafiam. Nie byłem również pewien, czy rozmawiam z Zenobią Marchewką, która, będąc krewną radnego, miała przecież, wedle oskarżenia, kontakty z gangiem, tak, jak zresztą miała je większość oficjalnie nie obciążonych mieszkańców tej wioski. Kiedy przed rokiem zaczęły się poszukiwania, Zenobia Marchewka, będąc w posiadaniu kilku kradzionych foteli, udała się do sprzedawcy GS-u, Stanisława Szczekowskiego, prosząc — zresztą bezskutecznie — aby zechciał jej wystawić za pewną opłatą rachunek na te luksusowe meble.

— Młody, to mieszka tam — powiedziała, wskazując starannie ogrodzony, murowany dom.

Gospodarz wyszedł mi na powitanie.

Był to przystojny, dobrze ubrany, trzydziestosiedmioletni chłop, którego w mieście nikt nie nazwałby chłopem. Mówił gładko, swobodnie, punktując każde zdanie jakimś mądrym, obco brzmiącym słowem. Robił najprzeróżniejsze dygresje, porównania, zdradzając ślady trudnych lektur i głębokich przemyśleń. Podobnie jak ja — szukał najwyraźniej dla całej tej sprawy szerszego, społecznego tła...

...Przecież w tej wiosce dopiero od roku jest światło. Przedtem nikt nie słuchał radia, nie oglądał telewizji. Gdzie kiosk z gazetami, albo jakiś klub? Ruchome kina nie nawiedziły Marchewek ani razu. Nie ma szkoły, nie ma ośrodka zdrowia, nie ma sołtysa. Ziemia ugorna, piaszczysta, leżąca odłogiem. Więc trudno się dziwić, że mieszkają tu toporni, ciemni ludzie. Kto i kiedy miał ich nauczyć co dobre, a co złe? Podczas wojny rabowali niemieckie pociągi. Wolno kraść okupantowi? Wolno! A swojemu rządowi wolno? Nie wolno! Lecz oni nie rozumieli tej różnicy. Za Niemca zdążyli się przyzwyczaić do ryzykownych, grożących śmiercią skoków na wagony, których strzegli uzbrojeni w karabiny, strzelający i zabijający żandarmi. Po wojnie, w latach głodu i chłodu, wystawali przy torach, czekając, aż zleci z pociągu trochę węgla i kartofli. Nieraz litościwi polscy kolejarze własnoręcznie spychali im na pola coś, co można było zjeść. Nieraz, wierząc w pobłażliwość pilnujących, którzy też mieli karabiny, ale już nie strzelali i nie zabijali — wyrywali z transportów niezbędne do życia przedmioty. Zrodziło się w nich wtedy silne przekonanie: to, co zdołasz wywlec z pociągu i zanieść do domu, jest twoją świętą, nienaruszalną własnością...

...I dlatego teraz w Marchewkach taka sromota. Prawie ćwierć wioski pod kluczem.

Pytam:

— Ilu macie mieszkańców

Gleń liczy. Zestraja w całość poszczególne rodziny, w których zna każdego dzieciaka i starca. Mówi wreszcie:

— Sześćdziesięciu trzech.

— A ile domów?

— Jedenaście.

— No i jak wam się współżyje?

— Różnie...

— Prawda to, że ci od Zjawionych pobili waszego ojca?

— Oj, nie ma o czym mówić. Było i przeszło!

Zmienia temat, roztaczając blaski... **Ziemia tu podła, ale teren przepiękny. Grzybne, wysokopienne lasy, wspaniałe powietrze, strumyki, stawy, które można by zarybić... Kocha te strony. I swój dom. I swoją pracę. Żona szyje chałupniczo, on hoduje pszczoły. Trzymają krowę. Dorabiają w spółdzielczości. Syn uczy się muzyki, a w szkole — same piątki.**

Częstuje mnie miodem, mocną herbatą. Chłopiec gra na akordeonie, żona ściera kurz z telewizora. Atmosfera sielska i anielska, ale napędu dla reporterskiego pióra — brak.

Toteż żegnam się z gościnną rodziną.

Krążę po wiosce zaczepiając ludzi, których toczy nieufność i strach. Ziarno do ziarna, słowo do słowa, zaklinam się przyrzekając dyskrecję. I wreszcie, z niewielkim bagażem, opuszczam spowite mgłą Marchewki.

Stoi obok budki na autobusowym przystanku ten dróżnik — nie dróżnik, chłop — nie chłop. Wymijam go bez większej nadziei, ale podnosi rękę zatrzymując redakcyjny wóz. Wysiadam. I wówczas, na asfaltowej drodze pośród głuszy leśnej, odbywa się między nami krótki targ. On mi powie wszystko, co wie, ja zapomnę raz na zawsze jego nazwisko. Przystając na to, znowu łapię odpowiedni gaz...

...Budka, przy której rozmawiamy, miała kiedyś piękne okna i drzwi, ale chłopaki z Marchewek rozbili je w drobny mak. Krewka to ferajna. I leniwa. Bez przerwy tajne narady po krzakach, wagary. Rzadko który skończył osiem klas. Nie mieli przykładu w domu. Ani do książki, ani do roboty. Czasami jakieś dorywcze zajęcia — sezon w polu, kwartał w przemyśle, dniówki przy budowie prywaciarskich mieszkań. Starszyzna znała się na pociągach, robotając kiedyś na kolei: taki na przykład Zjawiony albo Siedlis... Lubił karty i wódę, a zjechała go gruźlica. Nie chciał iść do sanatorium. Miał trzech synów. Jeden był poczciwy, robotny; duży grosz fasował przy pustakach, a wieczorami wyładowywał na stacjach pociągi. Urodził się z zajęczą wargą, i wilczym podniebieniem. W maleńkości zszyli mu tę wargę, lecz później, jak podrósł, stary pożałował pieniędzy na operację podniebienia. Miał przez to uraz do ludzi. Ojciec za życia mówił do niego: „Ty gungo!" Krewni też go nie lubili. To się powiesił.

Zostało tylko dwóch. Młodszy również lubił karty i gorzałkę. Gburowaty. Nikomu nie powiedział „dzień dobry", a jak psa zobaczył, to zawsze zdzielił go kamieniem. Starszy to był rozsądny, tyle, że ciągle chwytał za sznurek wrzeszcząc, że też się obwiesi. Wpadł pomyłkowo, za niewinność. Żonę miał, co lubiła się ubrać, więc potrzebował pieniędzy...

Ten od Zjawionych, Stasiek, to już kiedyś siedział. Ale był miły. Jego bracia i ojciec — też. Wieś nie czuła do nich nienawiści — nieraz pomagali sąsiadom w robocie, lubili pogadać, obśmiać się i w ogóle...

Najgorzej było z Wlażlakami, którzy przyjechali do Marchewek z Sadowca i z miejsca zaczęli się rządzić. Dzieciska niegrzeczne, rozpaskudzone, a ojciec szybki do kłótni.

Prawie wszystkie rodziny w tej wsi mają swoich za granicą, w Niemczech, we Francji... Przed wpadką przychodziły paczki, po wpadce ktoś zaszpiclował przestępców listownie i „utło się" z tymi paczkami. Zresztą — paczki, nie paczki, mieszka tu sama biedota. Siedlis i Zjawiony próbowali podgrywać dziedziców, ale cienko przędli, słoma wychodziła im z butów.

U Wlażlaków było lepiej. Stary produkował „kogutki", rozmaite gliniane psy i koty, jeżdżąc po odpustach z oszukańczą loterią. Tak czy owak, kiedy zaczął zwozić pod budowę nowego domu materiał, od razu rzuciło się to w oczy. Ludziska gadali: „Loteria kradnie na chleb, na dom pożycza diabeł".

Jak doszło do poślizgu?

Motorami nikt nie jeździł. Rower, choćby na wsi i choćby najlepszy, nikogo nie zdziwi. Piwo, wino? Ano, popijali. Konserwy? Jedli. Tapczany, fotele, lampy? Powstawiali do mieszkań. Korzystali z życia, przyuczając się do smaku nieznanych potraw, wciągając zrabowane „miejskie" sprzęty do swojej wiejskiej egzystencji. Tylko część złupionych towarów puścili na złodziejski rynek, ale...

Ktoś natknął się przy torach na ostemplowane, wyciągnięte z pociągu deski. Dróżnik zgłosił. Przyjechali sokiści, wygrzebując inny jeszcze towar z żyta. Cień padł na Stanisława Zjawionego. Odbyła się w Piotrkowie sprawa. Brak dowodów. Potem cień na Wlażlaka. Od tej pory obaj byli pod obserwacją. A kiedy wreszcie Marchewki zaroiły się od milicjantów sumiennie rewidujących wszystkie okoliczne domy, znalazło się w nich — jedne poukrywane, inne na widoku — masę ewidentnych dowodów, w obliczu których część gangu przyznała się do winy, a część zaprezentowała rewię humorystycznych uników, kreując surrealistyczne obrazy ludzkiego szczęścia.

Palenisko kowalskie? Leżało sobie na polu.

Tapczany? Znaleźliśmy w lesie.

Fotele, krzesła, motory? W zbożu stały. Myśleliśmy, że niczyje, to co się miały marnować...

* ★ *

Kot musi być czujny w krainie psów. Dróżnik — nie dróżnik, chłop — nie chłop widząc wychodzących z wioski ludzi, chowa się za ścianę budki, ażeby w chwilę później, kiedy tych parę niewyraźnych sylwetek zginie we mgle, znowu wyskoczyć na skraj szosy z przyklejonym do bezzębnych ust, zagadkowym uśmiechem.

Pytam:

— Skąd ta nazwa — Marchewki?

Mówi:

— W lesie za grzęzawiskami żył sobie w carskich czasach młynarz Marchewka. Ciągnęli do niego ze zbożem chłopi z całej okolicy. Jak ktoś ich pytał, gdzie jadą, mówili: do Marchewki! I tak jakoś się przyjęło...

— A ten radny?

— To chyba jakiś pociotek młynarza.

— Stara rodzina.

— U, panie! Ho, ho!

W ten sposób wiem już wszystko. A jednak w dalszym ciągu nurtują mnie ciężkie wątpliwości.

Chodzi o to, że studiując akt oskarżenia, poznałem nazwiska tych, co kradli, nie poznałem natomiast nazwisk tych, co zostali okradzeni.

Na liście pokrzywdzonych figuruje tylko jedna instytucja: **PKP — Oddział Ruchowo-Handlowy w Bydgoszczy.**

Gdzie reszta?

Komu zginął ten MILION?

Co na to poszczególne resorty?

Pytam kolejarzy z Siemkowic, jaka jest procedura odbioru przewożonych pociągami towarów.

Ich kompetentna odpowiedź nie pozostawia żadnych wątpliwości.

— Powiedzmy, że przyjeżdża jakiś transport do miejsca przeznaczenia i że tym miejscem są akurat Siemkowice. Co robimy? Przetaczamy odpowiednie wagony na plac wyładunkowy i zawiadamiamy instytucję odbiorczą — spółdzielnię, zakład przemysłowy czy też gospodarstwo rolne. Potem przychodzi do nas przedstawiciel tej instytucji i po wykupieniu tak zwanego listu przewozowego, idzie w towarzystwie dyżurnego ruchu na ten plac, do tych konkretnych wagonów, gdzie odbywa się komisyjne zdejmowanie plomb i otwieranie drzwi. Od tej chwili kolej jest wolna. Może się jednak podczas wyładunku okazać, że mimo nienaruszonych plomb, czegoś tam w środku brakuje. Wówczas odbiorca ma obowiązek ponownie wezwać dyżurnego ruchu i zareklamować przywieziony towar.

Jasna sprawa.

Jeśli jest to mąka lub kartofle, odbywa się komisyjne ważenie, którego efekt porównuje się z listem przewozowym.

Jeśli są to przedmioty wymierne, możliwe do przeliczenia na palcach, nie potrzeba nawet ważyć.

A przecież...

U odbiorców wszystko się zgadzało. Nikt nie płakał, nikt nie reklamował, nikt nie skarżył kolei do sądu. Z jednej strony rozbite siekierami skrzynie — z drugiej pliki cudownie broniących się papierów. Z jednej dwie tony zrabowanej fasoli. Z drugiej — poczciwe urzędnicze spojrzenia.

Kto tu z kogo robi wariata?

Milicjanci, którzy są powołani do tropienia przestępców, musieli w tym wypadku tropić także poszkodowanych.

Motory?

Rowery?

Kanapy?

— To nie nasze!

Zachowane na odnalezionych u złodziei opakowaniach nalepki wyraźnie wskazywały adresata, ten jednakże miał „porządek" w księgowości. W związku z tym jedna z gazet napisała, że świadczy to o sporym, panującym w pewnych instytucjach bałaganie.

Koń by się uśmiał.

Taki pozorny bałagan, to już wyższa szkoła jazdy. W takim bałaganie cwaniak wyjdzie na swoje nawet bez pośrednictwa kolei, która wlecze się ospale przez opustoszałe, czekające na proces Marchewki.

ANDRZEJ MAKOWIECKI

KSIĄŻKA

POWTÓRKA Z LIRYKI

Jacek Bierezin, rok urodzenia: 1947, zaliczany jest do tzw. kontestatorów, a więc tego nurtu najmłodszej poezji polskiej, który, przynajmniej w deklaracjach, manifestuje swoją nieufność wobec świata, a podejrzliwość ta każe, w poszukiwaniu autentyczności, negowanie potocznie przyjętych norm. Nic też dziwnego, że debiutujący autor, jako motto cyklu pod nazwą „Lekcja liryki" od którego wziął tytuł cały tomik, umieścił słowa Alberta Camusa z „Mitu Syzyfa": „Samej tylko walki prowadzącej ku szczytom wystarczy, by wypełnić ludzkie serce. Trzeba wyobrażać sobie Syzyfa szczęśliwym. „Nie jest to tylko erudycyjny popis, gdyż snobujący się na egzystencjalizm poeta, zacytowałby raczej Camusa w oryginale, chociaż o francuski tekst „Le mythe de Sisyphe" nie jest u nas łatwo. Nie jest to tylko popis także dlatego, że widać u Bierezina autentyczną fascynację filozofią „Obcego", czego dowodem choćby wiersz poświęcony pamięci Camusa, a napisany w dziesiątą rocznicę jego tragicznej śmierci w wypadku samochodowym.

A jednak na przykładzie tego debiutu widać najwyraźniej jak często manifesty i deklaracje pozostają tylko werbalnym zapewnieniem, jak teorie poetyckie rozmijają się z praktyką, z realizacją. Gdy przyjmiemy za Camusem, że absurd polega na niewspółmierności dążeń ludzkich i sytuacji jednostki ludzkiej w świecie, to wnioski wynikające z lektury książki Bierezina ułożą się w poczucie absurdu, które, jak dowiódł tego właśnie Camus, „nie jest tożsame z pojęciem absurdu".

Ale żarty na bok, odrzućmy jałowe deklaracje i przypatrzmy się rzeczywistym propozycjom poetyckim Jacka Bierezina. Poczynając od kunsztownie budowanego przez niego mitu własnej genealogii aż po filozoficzną wymowę jego przypowieściowej prozy poetyckiej.

Cykl „Pożegnanie lasu" dedykowany rodzicom jest typowy dla debiutów poetyckich w Polsce lat ostatnich, bowiem upozowany został katastroficznie. Jawią się w nim echa wojny („O ziemio w bólach rodząca ogień / pod zadymioną i daleką gwiazdą"), a także poczucie utraconego dzieciństwa „co dziś wygląda jak spłowiały płaszcz". A zatem:

„Dokąd odchodzę gdy ogień las trawi

W jakich popiołach odciskam swój ślad".

Przedłużeniem i potwierdzeniem tych niepokojów jest wiersz poświęcony poetom, którzy tragicznie zginęli w czasie okupacji: Krzysztofowi Kamilowi Baczyńskiemu, Tadeuszowi Gajcemu oraz Andrzejowi Trzebińskiemu. A także zmarłemu przedwcześnie Andrzejowi Bursie, którego twórczość poddana zostaje w ten sposób interpretacji z pozycji katastroficznych. To dziedzictwo artystyczne i ideowe nie pozostało bez wpływu na próby samego Bierezina. Wbrew kontestatorskim deklaracjom, z jego wierszy wyziera stary romantyzm Juliusza Słowackiego, zapożyczony chyba nieświadomie przez pilną lekturę Baczyńskiego. Neoromantyczna wrażliwość znalazła swój najpełniejszy wyraz w najbardziej osobistym cyklu tomu pod nazwą „Zbliżenia" a dedykowanym żonie. Dość zacytować:

„Miłość można opisać cierpieniem", albo

„I nie mów że życie umrze nam za wcześnie", lub

„A jeśli odejdziesz zabierz głos i pamięć.

bym cię nie znajdował w oddechu i brzmieniu".

Co najdziwniejsze pogłosy romantyczne znajdujemy także w wierszach programowo kontestatorskich łącznie z deklaratywną „Lekcją liryki". Toteż słuszniej będzie uważać tomik Bierezina raczej za powtórkę z liryki, jak to zazwyczaj bywa u poetów po raz pierwszy ogłaszających się światu. Zwłaszcza, że propozycje jawnie kontestatorskie stanowią naiwną próbę adaptacji raz to światopoglądu Camusa, to znów Sartre'a, co nachalnie wyziera zwłaszcza z „Traktatu".

Toteż zgoła nieoczekiwaną dojrzałość cechuje prozę poetycką Bierezina, oszczędną w słowie, odznaczającą się filozoficznym dowcipem i celnością sformułowań. Kształt tej prozy świadczy o tym, że debiut Bierezina nie jest przedwczesny i że swoje chaotyczne poszukiwania z innych cyklów tomu zdyskontuje on w następnej książce.

KONRAD FREJDLICH

Jacek Bierezin: „Lekcja liryki", Wydawnictwo Łódzkie 1972, str. 55, cena zł 10.—

SPOWIEDŹ

Michel Leiris — etnograf z wykształcenia, poeta i pisarz, w młodości związany z nadrealizmem — w 1939 r. wydał książkę pod tytułem „Wiek męski". W 1946 r. ukazało się drugie wydanie tej książki, a obecnie PIW dał nam jej polski przekład Teresy i Jana Błońskich. Jest to książka drażniąca, jest to książka również nieco skandalizująca, gdzie o „pewnych sprawach" mówi się w sposób prowokacyjnie szczery. Autor spowiada się bowiem przed czytelnikiem ze swoich marzeń, lęków, snów i natręctw, a w tym i natręctw seksualnych. Ale — jak twierdzi w posłowiu Jan Błoński — szczerość Michela Leirisa jest pozorna, jest to tylko gierka, gdyż to, co odsłania jedną ręką, zaraz zakrywa drugą.

Michel Leiris wychodzi z założenia, że literatura może służyć jako narzędzie do oczyszczenia człowieka, pod warunkiem jednak, że autor zdobędzie się na obrazoburczą, skandalizującą szczerość i opowie o sobie wszystko. Zdradzi przed czytelnikiem swoje najintymniejsze myśli i pragnienia, swoje urojenia i niepokoje. Bezwstydnie obnaży swoją duszę i umysł, pokaże mu swoją podświadomość. Wyspowiada się przed każdym, kto za parę monet kupi jego książkę i zechce ją przeczytać. Z takiego zamysłu powstał „Wiek męski" — intymny pamiętnik mężczyzny, który postanowił pokazać, jak z chłopca i młodzieńca stawał się pisarzem. „Skończyłem właśnie trzydzieści cztery lata..." — tak zaczyna się ta książka, w której psychoanaliza posłużyła jako tworzywo literackie.

Miał to być dokument drogi pisarskiej jednego człowieka, ale dążenie do ekshibicjonizmu okazało się niepełne, zwyciężyła literatura, która kazała pisarzowi coraz częściej porzucać zamiar dokumentowania na rzecz interpretacji, poszukiwnia piękna i prawd ogólniejszych.

Tę szczególną autobiografię poprzedził autor rozprawą zatytułowaną „Literatura a tauromachia", charakteryzującą atmosferę i cel, dla którego powstał „Wiek męski".

Książka ukazała się w serii „Proza Współczesna" i — uwaga — może zmylić okładką tych, którzy szukać w niej zechcą taniej sensacji.

Michel Leiris, „Wiek męski", PIW Warszawa — 1972, str. 186, cena: 18 zł.

„MIEDZIORYT ZE SŁONIEM"

W serii PIW „Proza współczesna" ukazał się tom opowiadań Johannesa Urzidila, jednego z najwybitniejszych przedstawicieli prozy austriackiej. Urodzony w 1896 r. w Pradze, debiutował w 1919 r. tomikiem wierszy, później publikował liczne artykuły o tematyce historyczno-literackiej. Należał do tak zwanego „Prager Kreis" — Koła Praskiego, które grupowało najwybitniejszych pisarzy austriackich, blisko związanych z niemieckim ekspresjonizmem, przyjaciel Franza Kafki i Franza Werfla, w roku 1939, podobnie jak wielu pisarzy niemieckich, Johannes Urzidil emigruje najpierw do Anglii, a później w 1941 roku do Stanów Zjednoczonych, gdzie w 1946 roku przyjmuje obywatelstwo amerykańskie. Na 6 lat przed śmiercią w 1946 roku pisarz zostaje odznaczony Wielką Austiacką Nagrodą Państwową.

Na wydany ostatnio pod wspólnym tytułem „Miedzioryt ze słoniem" zbiór opowiadań Urzidila składają się utwory, pochodzące z pierwszego, wydanego w 1954 roku tomu prozy „Stracona okazja" i późniejszych — „Miedzioryt ze słoniem", „Tryptyk praski", „Uprowadzenie i siedem innych zdarzeń" oraz tomu zatytułowanego „Czy to ty, Ronaldzie?". Wybrane i przełożone przez Marię Gero opowiadania mają wspólną cechę — we wszystkich można znaleźć elementy autobiograficzne. Pisarz wraca w nich do okresu dzieciństwa, do krajobrazu czeskiej wsi, do wspomnień praskich. Swoich bohaterów przedstawia w prosty, pozbawiony formalnych i treściowych udziwnień sposób. Opowiadania Urzidila przypominają ludową gawędę, ciepłą i serdeczną, mówią o ludziach i ich codziennych, powszednich sprawach. Jest w tomie również kilka utworów, w których pisarz zawiera swoje przeżycia i doświadczenia związane z okresem emigracji. Do takich należą tytułowy „Miedzioryt ze słoniem", „Ucieczka Kafki" czy „Smierć i podatki". Tesknota za utraconym krajem dzieciństwa jest jednak u Urzidila tak silna, że i tu przemyca czeskie rekwizyty, a bohaterowie noszą słowiańskie nazwiska.

Johannes Urzidil — „Miedzioryt ze słoniem", PIW, Warszawa 1972, str. 406, cena: 32 zł.

NIEPRZERWANA ROZMOWA

Straszni są bohaterowie powieści Ivy Compton-Burnett „Przeszłość i teraźniejszość". Przez cały czas nie zamykają ust, trwa nieprzerwany dialog, toczą się zdania okrągłe i gładkie, sztuczne w swojej stylistycznej doskonałości. Spora grupka postaci zaludniających karty tej powieści gada bez przerwy, wszyscy jednako uczenie i mądrze; służba w kuchni rozmawia takim samym napuszonym, nieprawdziwym językiem, jak państwo w salonie, dzieci wymądrzają się nie gorzej od rodziców i wygłaszają kwestie, które włożone w usta niedorostków po prostu śmieszą. I irytują, tak, jak po trosze irytuje sama powieść.

„Przeszłość i teraźniejszość" jest pierwszą przetłumaczoną na język polski książką angielskiej pisarki Ivy Compton-Burnett, zmarłej w 1969 roku, która dopiero po ostatniej wojnie, mimo, że debiutowała w 1911 roku, została oficjalnie uznana przez krytykę i zaliczona do grona najoryginalniejszych twórców. Na czym polega oryginalność tej techniki pisarskiej? Przede wszystkim na tym, że wszystko to, co się dzieje w jej książkach, cała fabuła, zawarta jest, niczym w utworze scenicznym, w dialogu. Nie wiemy, jak wyglądają bohaterowie „Przeszłości i teraźniejszości", nie wiemy, jak wygląda dom, w którym żyją. Autorka nie zajmuje się tymi sprawami, każe swoim bohaterom mówić. I mimo, że tematyka powieści dotyczy wiecznie żywych, wiecznie istotnych spraw, jakimi są stosunki między ludźmi, ich wzajemna sympatia i niechęć, układy i zależność w rodzinie, to książka może znużyć czytelnika, po raz pierwszy stykającego się z pisarstwem Ivy Compton-Burnett. Więcej nawet, trzeba pewnej cierpliwości, aby przebrnąć przez pierwsze partie książki, zanim się już wciągnie w dziwną zabawę w gadanie, którą proponuje autorka. Sądzę, że największe niebezpieczeństwo techniki pisarskiej, obranej przez Compton-Burnett tkwi w tym, że jej bohaterowie, którzy przez cały czas rozstrząsają problemy egzystencji ludzkiej i popisują się wiedzą o życiu, często ocierają się w tych swoich, naburmuszonych, sztucznych wypowiedziach o banał i naiwność. I próżno by szukać, tak, jak chce tłumaczka Bronisława Balutowa, w tych niby pozornych naiwnościach, ukrytej głębi. Bohaterowie „Przeszłości i teraźniejszości" nie mogą zawsze głosić prawdy. Po prostu za wiele mówią.

Czy wobec tego warto sięgnąć po „Przeszłość i teraźniejszość"? Chyba tak, choćby po to, żeby zapoznać się z rzeczywiście oryginalną techniką pisarską Ivy Compton-Burnett. Książka ukazała się w serii „Nike".

B. M.

Ivy Compton-Burnett — „Przeszłość i teraźniejszość". Czytelnik, Warszawa — 1972, str. 336, cena: 20 zł.

GŁÓD

ANASTAS MIKOJAN

Sormowianie pracowali dla potrzeb obronności i otrzymywali większe przydziały żywnościowe niż inni. Na jednego robotnika przypadało miesięcznie 45 funtów mąki, 15 funtów jarzyn, 1/4 funta mydła, 1/4 funta surogatu kawy i 2 pudełka zapałek. Mąkę i sól robotnicy otrzymywali regularnie, choć niekiedy bywało w mące zbyt dużo otrąb...

...Pojechałem do fabryki. Wiecujący już się „wygadali". Wszedłem na zbitą z desek trybunę, a tu jeden z robotników pokazuje mi na oczach całego tłumu garść mąki, którą właśnie otrzymał i pyta:

— To ma być mąka? spójrzcie — same otręby!

Przyjrzałem się mące i odrzekłem:

— Mąka rzeczywiście nie jest najlepszego gatunku. Dużo w niej otrąb. Ale innej mąki, towarzysze, nie mamy. Gdyby była, to właśnie wy, sormowianie, w pierwszej kolejności byście ją dostali. Na pewno. Trzeba na razie pogodzić się z taką, jaka jest.

Zacząłem tłumaczyć w jak poważnej sytuacji znalazł się nasz kraj, lecz od razu zauważyłem, że choć robotnicy niby rozumieją moje wyjaśnienia, to te argumenty ich nie zadowalają...

Gdy skończyłem, ten sam robotnik, który podtykał mi mąkę pod nos zabrał głos i ogłosił:

— Wobec tego poślemy delegację sormowian do Lenina. On nas szanuje i ceni. Na pewno nam pomoże.

Wypowiedziałem się przeciwko temu wnioskowi:

— W najbliższych dniach jadę służbowo do Moskwy więc obiecuję wam, że waszą prośbę przedstawię w Ludowym Komisariacie Żywienia tow. Ciurupie, zastępcy Lenina.

Sormowianie jednak nastawali na swoim.

— Z Ciurupą nie ma o czym rozmawiać, to właśnie on przysyła tutaj taką mąkę! Tylko Lenin może rozwiązać ten problem.

Widząc, że nie da się ich przekonać przyrzekłem być w Moskwie także i u Lenina.

Dopiero po tej obietnicy sormowianie opuścili plac i rozeszli się do hal fabrycznych.

Pierwsze kroki, jakie zrobiłem w Moskwie, skierowałem do Komisariatu Żywienia. Wyjaśniłem Ciurupie, jaka sytuacja zaistniała w Sormowie. Natychmiast obiecał skuteczną pomoc. Zwracać się do Lenina nie było potrzeby. Wkrótce do Niżniego Nowgorodu naprawdę przysłano dobrą mąkę...

W pamięci pozostał jeszcze jeden epizod.

Siedzę w Komitecie. Nagle telefon z kanawińskiego Komitetu Rejonowego RKP: w fabryce „Sałanin" robotnicy przerwali pracę, formalnie ogłosili strajk, nie opuszczają fabryki i żądają, ażebym natychmiast przybył.

W stosunku do tych robotników miałem można powiedzieć „podwójne" zobowiązania: jako sekretarz Komitetu Gubernialnego i jako ich radny w Miejskiej Radzie.

...Zebranie odbyło się bezpośrednio w hali. Robotnicy zaczęli skarżyć się na zbyt małe przydziały żywnościowe i żądali zwiększenia ich do takiej ilości, jaką wtedy otrzymywali sormowianie, co oznaczałoby zwiększenie normy chleba na jednego robotnika o 9 funtów miesięcznie. Wystąpiły dwie czy trzy osoby, potem zaś zażądano mojego wystąpienia.

— Żądania wasze są zrozumiałe, — powiedziałem. — Jednak aż do nowych zbiorów państwo nie dysponuje takimi zapasami zboża, by móc podnieść poziom zaopatrzenia ludności. Nie jesteśmy teraz w stanie zwiększyć przydziałów. Mamy trudności z regularnym wydawaniem tego, co wam się obecnie należy. Jeśli zaś chodzi o sormowian, to oni już stosunkowo dawno dostają większe przydziały, gdyż wykonują specjalne, bardzo odpowiedzialne zamówienia wojskowe. Nie ma w tej chwili żadnej realnej możliwości zrównania z nimi reszty robotników... Mówię wam to szczerze i otwarcie: musicie poczekać do nowych zbiorów. Jeśli urodzaj będzie dobry — sytuacja się natychmiast poprawi i będziemy mogli wtedy zwiększyć przydziały chleba.

Nie zdążyłem skończyć, jak nagle rozległ się głos jakiejś kobiety:

— Dobrze wam tak gadać, jak sami to się obżeracie!

Powiedziane to było głośno, choć mówiącej nie było widać spoza pleców innych.

Trzeba powiedzieć, że w owych czasach byłem okropnie chudy i wyglądałem jak szkielet. Momentalnie bysnęła myśl, by kuć żelazo póki gorące — poprosiłem, by ta, która to powiedziała, wyszła na środek. Bardzo niechętnie, z ociąganiem, ale wyszła.

Stanęła przede mną młoda kobieta, lat około trzydziestu, z rumieńcem na policzkach, których krągłość jak na owe czasy była zadziwiająca. Musiała chyba nie zaznać głodu: wielu robotników fabryki miało swoje krowy i ogrody.

Przyznaję szczerze, że bardzo się ucieszyłem z jej wyglądu: po pierwsze — przyjemnie było popatrzeć na człowieka, który tak zdrowo wygląda, a po wtóre — w tej sytuacji można powiedzieć miałem podwójną przyjemność, gdyż taki okaz zdrowia był mi bardzo na rękę.

Z uśmiechem wskazałem na nią i zwróciłem się do robotników:

— Przyjrzyjcie się nam obojgu i powiedzcie, kto z nas się obżera?

Rozległ się gromki śmiech. Zawstydzona kobieta spurpurowiała jeszcze mocniej. Poczekałem aż śmiech ucichnie i zwróciłem się z prośbą do robotników, żeby przystąpili do pracy i poczekali na chleb do lepszych czasów.

Natychmiast rozeszli się po halach i praca zawrzała.

Trzeba powiedzieć, że z nową ekonomiczną polityką (nep) przyjętą na X zjeździe partii nie mieliśmy szczęścia w pierwszym roku jej realizacji. Wprowadzenie jej zbiegło się w czasie ze straszną kleską żywiołową 1921 roku — wielką suszą i nieurodzajem. W niektórych rejonach, najmocniej dotkniętych suszą, zboża zmarniały doszczętnie. Klęska nieurodzaju dotknęła ponad 30 gubernii zamieszkałych przez ponad 30 milionów ludności. Szczególnie ciężko było na Powołżu. Liczba głodujących w nadwołżańskich guberniach (bez Krymu i Ukrainy) sięgała ponad 17 milionów ludzi. Lenin nazwał rok 1921 rokiem niesłychanie ciężkim.

Obliczano, że z głodu umarło wtedy około 3 milionów ludzi. Dlatego też chłopi z rejonów dotkniętych suszą nie mogli zapłacić podatku w naturze: nie tylko nie dawali żadnych nadwyżek ziarna do obrotu wolnorynkowego, lecz nawet do utrzymania się przy życiu zboża im nie starczało. Z producentów zboża stali się jego konsumentami. Niemożność zebrania podatku w naturze mocno zachwiała bilans zbożowy naszego kraju. Co więcej, trzeba było zdobyć gdzieś dodatkowe ilości zboża, by głodujących nie zostawić bez pomocy.

Rząd radziecki energicznie zabrał się do organizowania pomocy dla głodujących rejonów, zarówno jeśli chodzi o żywność, jak i o ziarno siewne.

Na III sesji WCIK (maj 1922 roku) M. I. Kalinin oznajmił, że państwo przeznaczyło dla głodujących okręgów około 12 milionów pudów żywności. Ponad 800 tysięcy ludzi ewakuowano do innych gubernii. W czasie ozimej kampanii siewnej wysłano do tych okręgów ponad 12 milionów pudów ziarna siewnego, a podczas siewów jarych — około 40 milionów pudów. Kalinin dodał, że za środki zgromadzone ze specjalnego podatku od obywateli, a także ze skonfiskowanych przedmiotów sakralnych zakupiono za granicą wiele set tysięcy pudów mąki...

Lecz ograniczyć się tylko pomocą państwa nie można było i partia ogłosiła ogólnonarodową kampanię walki z głodem. W rezultacie dobrowolnych składek od robotników i chłopów z gubernii nie dotkniętych klęską zostały zebrane dość znaczne środki, które przeznaczono na walkę z głodem. W samej Rosji zebrano ponad pięć milionów pudów żywności, w tym również zboża. Prócz tego, nad każdą „głodującą" gubernią objęła patronat gubernia „syta", która przychodziła z pomocą ludziom cierpiącym na skutek nieurodzaju...

W tej ogólnonarodowej akcji wielką rolę odegrała utworzona w lipcu 1921 roku przy WCIK Wszechrosyjska Centralna Komisja Pomocy dla Głodujących (POMGOŁ), na której czele stanął M. I. Kalinin.

Jedną z przedstawicielek POMGOŁ'u za granicą była Maria Fiodorowna Andriejewa — żona Maksyma Gorkiego. Jej wystąpienia, w których apelowała do narodów Europy o okazanie pomocy głodującym znalazły szeroki oddźwięk. W liście do Lenina pisanym z Berlina zawiadamiała go o wynikach swojej działalności:

„...zaproszono mnie, bym opowiedziała o głodzie, do Szwecji i Danii, mówiłam też o tym w samym Berlinie. Przychodziły posłuchać mnie tłumy bardzo różnej publiczności, rozmawiano ze mną szczerze, bez żadnego skrępowania".

Proletariat międzynarodowy, a także wielu postępowych działaczy gorąco poparło apel o pomocy dla Rosji Radzieckiej. Jednym z pierwszych, a przy tym najbardziej aktywnym organizatorem tej pomocy stał się znany norweski uczony Fridtjof Nansen. Niemały wkład pracy wniósł Komitet Zagraniczny organizujący międzynarodową pomoc robotniczą dla głodujących w Rosji Radzieckiej (późniejszy Mieżrabpom). Komitet ten powstał w 1921 roku przy udziale Klary Zetkin, Alberta Einsteina, Romain Rollanda, Henri Barbusse'a i innych postępowych działaczy społecznych i przedstawicieli świata nauki, literatury i sztuki.

Ponieważ klęska suszy miała charakter ogólnokrajowy postanowiono oprócz POMGOŁ'u utworzyć jeszcze jeden Komitet Społeczny, który miał reprezentować środowiska nie robotnicze, w tym również niekomunistyczną inteligencję twórczą i działaczy różnych istniejących podówczas w Rosji stronnictw politycznych. Komitet ten został powołany w lipcu 1921 roku, a przewodniczył mu L. Kamieniew. Komitet otrzymał prawo zbierania dobrowolnych składek, kupowania w Rosji i za granicą żywności, paszy, lekarstw i odzieży, a także miał organizować stołówki, przydzielać miastom i guberniom fundusze na rzecz pomocy głodującym.

Komitet ów istniał jednak bardzo krótko — niecały miesiąc. Antyradziecko nastawieni poszczególni członkowie kierownictwa próbowali wykorzystać Komitet Społeczny jako legalne ciało do określonych celów kontrrewolucyjnych. Gdy „działalność" tych ludzi została rozszyfrowana, rząd radziecki postanowił rozwiązać Komitet, zaś w oficjalnym komunikacie powiadomiono społeczeństwo, że pod płaszczykiem Komitetu Społecznego prowadzona była kontrrewolucyjna gra polityczna pewnych rządów burżuazyjnych i grup białogwardzistów.

W sierpniu roku 1921 rząd radziecki podpisał umowę z amerykańską organizacją ARA w sprawie pomocy głodującym.

Działalność ARA trwała około półtora roku i przerwana została w czerwcu 1923 roku, to jest w momencie, gdy stwierdzono, że ARA w sposób zawoalowany zajmowała się nie tylko organizacją pomocy gospodarczej, lecz przede wszystkim agitacją antyradziecką i działalnością szpiegowsko-dywersyjną, że pomagała opozycji kontrrewolucyjnej w jej dążeniach do obalenia władzy radzieckiej.

IX Wszechzwiązkowy Zjazd Rad (grudzień 1921 roku) podjął specjalną uchwałę „O pomocy dla głodujących", w której między innymi podkreślono, że rządy burżuazyjne potraktowały poważną klęskę żywiołową, jaka ogarnęła część Rosji Radzieckiej „jako nadzwyczaj dogodną okazję do ponownego podjęcia próby obalenia władzy radzieckiej".

Tym niemniej pomoc gospodarcza udzielona naszemu krajowi w tych latach była odczuwalna w dość poważnym stopniu. Międzynarodowe organizacje społeczne (ARA, angielscy kwakrzy, szwedzki Czerwony Krzyż, organizacja Nansena, Międzynarodowy Komitet Robotniczy, Międzynarodowa Rada Pomocy Dzieciom, niemiecki Czerwony Krzyż, tradeuniony i inne) dostarczyły 27 milionów pudów żywności, głównie pszenicy, mąki, kukurydzy i innych produktów.

W 1922 roku Lenin pisał, że pomoc ta „w znacznej mierze pomogła Rosji Radzieckiej przeżyć ciężkie dni ubiegłorocznego głodu i przetrwać je".

„...Wysiłek nasz był ogromny... — powiedział na III sesji WCIK Kalinin, wstępnie reasumując wyniki walki z głodem. — Około 10 milionów ludzi wydarto z rąk śmierci głodowej, a następnym kilku milionom obywateli naszej Republiki Radzieckiej przywrócono zdolność do pracy lub zachowano tę zdolność".

Tłum:
SABINA NOWICKA-KOCZNOW

NIEPOROZUMIENIA I FASCYNACJE

ANDRZEJ F. GRABSKI

W poprzednim szkicu starałem się pokazać ograniczoność i jednostronność źródeł, z jakich korzystał Andrzej Micewski, pisząc swoją książkę o Romanie Dmowskim. Sprawie tej poświęciłem tyle miejsca dlatego, że jednostronny dobór źródeł uniemożliwił dokonanie uzasadnionej i obiektywnej prezentacji życia, działalności i myśli Romana Dmowskiego.

Zjawisko polskiego, burżuazyjnego nacjonalizmu, którego Roman Dmowski magna pars fuit, jawi się nam w braku perspektywy porównawczej, jako osobliwie polski fenomen. Tymczasem już choćby ówczesna krytyka programu narodowo-demokratycznego, jak np. broszura „Nasi hakatyści" (Paryż, 1900), „Nasi socjaliści, napisał b. członek L. N. (L. Wasilewski)" (Londyn 1904), nie mówiąc już u publicystyce Ludwika Kulczyckiego („Współczesne prądy umysłowe i polityczne", Lwów 1904) i bardzo wielu innych, sugerowały zastanowienie się, w jakiej mierze jest on zjawiskiem ogólniejszym, europejskim, w jakim zaś stopniu indywidualnym polskim.

Własna R. Dmowskiego **idea swojskości** nie stwarza w tym względzie należytej perspektywy i utrudnia raczej niż ułatwia zrozumienie eksplozji polskiego nacjonalizmu pod koniec XIX i na początku XX stulecia jako ogólniejszego zjawiska powszechnodziejowego, mającego swoje odpowiedniki zarówno w Niemczech, jak we Francji, w Rosji i innych krajach. Zresztą uważna lektura pism R. Dmowskiego, choćby tylko z okresu do 1905 roku wskazałaby, w jakiej mierze w argumentacji polskiego ideologa funkcjonował przykład obcy: zdecydowanie zbyt optymistyczne oceny kierunków nacjonalistycznych w obcych krajach, jakie serwowała publicystyka endecka, były, jak wiadomo, ostro zwalczane z lewicy, by znów wspomnieć choćby tylko L. Kulczyckiego. Nikła wzmianka o rozwoju „agresywnych nacjonalizmów" w Niemczech i Rosji i o tym, że „nacjonalizm polski — w pewnej mierze — stanowił naturalną reakcję obronną" (o ileż głębiej spoglądał na ten sam problem W. Lenin w dyskusji z Różą Luksemburg!), czy informacja o fascynacji Dalekim Wschodem w nacjonalizmach zachodnioeuropejskich, nie rozwiązują jeszcze problemu.

Przeszliśmy tedy do sfery interpretacji. A pod tym względem rzecz **A. Micewskiego** również budzi sporo wątpliwości. Nie chciałbym być tu pomówiony o złośliwość, ale po przeczytaniu tej książki odnoszę nieraz wrażenie, **że jej autor hołduje niekiedy uproszczonej metodzie interpretacji zjawisk,** bardzo podobnej do tej, którą w niedobrym dla naszej humanistyki czasie serwowano nam jako (rzekomy) materializm historyczny. A. Micewski tedy, interpretując poglądy i obsesje R. Dmowskiego, chętnie odwołuje się do jego społeczno-klasowej genealogii, ale wydaje mi się, że nie zawsze celnie potrafi uchwycić zachodzące tu rzeczywiste uwarunkowania. Sądzę mianowicie, że zbyt mały nacisk położył on na problem, sygnalizowany przez I. Chrzanowskiego i S. Kozickiego, zresztą zauważony i przez samego siebie, mianowicie **szlacheckich uwarunkowań światopoglądu swego bohatera, czego jednak nie potrafił przekonująco zinterpretować.**

Ojciec R. Dmowskiego był kamieniarzem, który później dorobił się jakiegoś przedsiębiorstwa, ale on i jego rodzina kultywowały szlachetną tradycję. Kamieniarz — ni to rzemieślnik, ni robotnik, ni to przedsiębiorca — z herbowymi tradycjami: jakież pole dla powstania poczucia deklasacji, tak charakterystycznego dla tych, którzy zmuszeni opuścić swe dworki, szukali chleba na miejskim bruku? Mamy dosadny, literacki portret tej sytuacji społecznej w powieści Antoniego Sygietyńskiego „Wyrzucony z siodła" (1891). Poczucie społecznej degrengolady i sublimacja herbowych pamiątek: toć taka była i atmosfera rodzinnego domu R. Dmowskiego! Więc: poszukiwanie winnych za ten swój marny los, nie w sobie oczywista, nie w obiektywnych przemianach świata, bo te z pozycji kamieniarza były niedostrzegalne, ale w... Żydzie. Toć właśnie tutaj należałoby poszukiwać korzeni owej antysemickiej obsesji, której tak jaskrawym wyrazicielem był R. Dmowski!

Zapytajmy jeszcze: jakie kręgi stanowiły pod koniec ubiegłego wieku literacką publiczność pisarstwa Klemensa Junoszy-Szaniawskiego? Chyba właśnie ci, którzy Żydów winili za swoje własne niepowodzenia i klęski, a nie potrafili dojrzeć ich rzeczywistych przyczyn. R. Dmowski nie poprzestał na osobistej — typowej, jak podkreślamy, dla środowisk mieszczańskich proweniencji drobnoszlacheckiej, dotkliwie odczuwających własną deklasację — obsesji, starał się swój antysemityzm w swoisty sposób zintelektualizować.

I tutaj nasuwa się kolejna uwaga pod adresem A. Micewskiego. Podkreśla on, na co zwracał już zresztą uwagę w swojej pierwszej książce, że **R. Dmowski formował się pod przemożnym wpływem pozytywizmu i został wychowany w oparciu o tak charakterystyczny dla tego nurtu kulturowego światopogląd przyrodniczy, będąc pod tym względem nieodrodnym dzieckiem epoki.** Szkoda jednak, że autor nie wyprowadził z tego słusznego stwierdzenia pełnych wniosków. Na właściwą drogę interpretacji wskazywał już przed laty Kazimierz Tymieniecki pisząc:

„mówiąc o Dmowskim jako pisarzu politycznym nie można również zapomnieć o jego wykształceniu przyrodniczym. W samej metodzie traktowania zjawisk społecznych i narodowych jest w nim bez wątpienia wiele z pozytywisty. (...) Z pozytywizmu i z nauk przyrodniczych zaczerpnął prawdopodobnie Dmowski zrozumienie znaczenia, jakie w życiu społeczeństw odgrywa walka. Stamtąd czerpał również pojęcie ewolucji, której podlega nawet charakter narodu".

W książce A. Micewskiego ani razu nie pojawia się nazwisko Augusta Wrześniowskiego, profesora Uniwersytetu Warszawskiego, którego R. Dmowski był wszak uczniem. Właśnie A. Wrześniowski załatwił mu zapomogę z Kasy im. Mianowskiego i skłaniał do habilitowania się w Krakowie. Związki młodego R. Dmowskiego z jego profesorem były więc bliskie — zaś z drugiej strony wiadomo, że nie kto inny, jak właśnie A. Wrześniowski niedawno jeszcze skandalizował mieszczańską publiczność swymi wykładami o koncepcjach Charles Darwina, czego środowiska zachowawcze nigdy mu nie darowały.

Darwinizm społeczny, którego echa odnaleźć by można z łatwością w światopoglądzie R. Dmowskiego, miał bardzo wiele postaci, nie tylko tę, którą nadawały mu środowiska lewicowe, adaptujące myśl darwinowską — nie tylko w Polsce — do ideologii socjalistycznej. Stanowił on również, w połączeniu z innymi wątkami, jedną z przesłanek dla powstawania rozmaitych koncepcji o charakterze rasistowskim. Leżące u ich podłoża kryterium biologiczne wywodzi się ni mniej, ni więcej, ale właśnie z owego charakterystycznego dla pozytywizmu światopoglądu przyrodniczego.

Nie jest też sprawą przypadku, że antysemici o zacięciu rasistowskim — prócz R. Dmowskiego, np. Teodor Jeste-Choiński, byli nie tylko ludźmi prawicy, ale często byli... byłymi pozytywistami. O tym, jak naturalistyczno-rasowe koncepcje obiegowej literatury pranaukowej inspirowały innego rasistę XX w., w jakiej mierze wpłynęły na jego światopogląd, świadczą jego własne wyznania w „Mein Kampf", a także informacje przytaczane w każdej poważniejszej pracy o autorze tej książki, choćby w popularnym u nas dziełku Alana Bullocka. Droga od światopoglądu przyrodniczego a la positiviste do biologicznego rasizmu i interpretowania przy jego pomocy antysemityzmu (który przecież rodzi się nie tylko z tego źródła!), dla wielu ideologów mieszczańskiej prawicy społecznej w Europie była drogą typową. Kroczył nią nie sam jeden R. Dmowski. Na tym szlaku rodziła się ideologia „narodowego egoizmu" — by użyć terminu Zygmunta Balickiego — ze wszystkimi swoimi konsekwencjami.

Rozważania nasze zawiodły więc od zagadnień metod interpretacji zjawisk do omawiania ich samych. Pozostańmy tedy w tym kręgu.

JEDNOSTRONNOŚĆ Z PODTEKSTEM

A przecież nie wszystkie jaskrawie jednostronne ujęcia, jakie zdarzają się A. Micewskiemu, można przypisać tylko niedostatkom metody. Najistotniejsze — o którym za chwilę — wydaje się mieć zgoła inny podtekst. Powiedzmy po prostu: **podtekst polityczny.** Autor wielokrotnie akcentuje w swej książce zasługi obozu narodowo-demokratycznego **„w budzeniu nowoczesnej świadomości narodowej w Polsce",** podkreśla, że **„rola obozu Dmowskiego w uświadomieniu narodowym w Królestwie nie może być kwestionowana"** i tak dalej.

Nie posądzam A. Micewskiego o bezkrytyczne sięganie po stare endeckie dogmaty ideologiczne i sam jestem jak najdalej od niedoceniania roli, jaką odegrał ruch narodowo-demokratyczny w omawianej sprawie. Chodzi jednak o to, by nie widzieć go w tej akcji jako samotnego bohatera: łatwo wykazać, że nie tyle sam tworzył on, ile przejmował, organizował, rozwijał, wreszcie sprowadzał na wyznaczoną przez siebie drogę ową eksplozję nowoczesnego uświadomienia narodowego, jaka zaznaczyła się od lat osiemdziesiątych i dziewięćdziesiątych ubiegłego stulecia w najróżniejszych grupach społecznych.

Przesadą jest przypisywać endecji rolę demiurga: bardziej dyskontowała ona, jak się zdaje, niż tworzyła zjawisko społeczne, a dyskontując, starała się, niejednokrotnie skutecznie, odciągać je z drogi, którą uważała za najbardziej niebezpieczną. Rację ma A. Micewski, gdy podkreśla, że R. Dmowski uniemożliwiał syntezę dążeń do wyzwolenia narodowego z dążeniem do wyzwolenia społecznego. Nie można się z nim zgodzić natomiast, gdy sądzi, że jego bohater miał rację uważając, **„że istniejące kierunki polskie, wysuwające sprawę rewindykacji socjalnych, nie mają przemyślanego programu polityki narodowej i planu wysiłków w kierunku odzyskania niepodległości"** i dlatego wysunął koncepcję **„wszechpolską i stworzył wszechpolski kierunek polityczny"...**

ALEKSANDER NIEŚMIAŁEK

ZADECYDUJE RZETELNOŚĆ

Po III Przeglądzie Filmów Społeczno-politycznych

Imprezy filmowej, kulturalno-społecznej, o której piszę nie należy oceniać w kategoriach festiwalu fetującego co bardziej dostojnych uczestników i stawiającej pomniki laureatom festiwalowych premii. Nic z tych festiwalowych atrybutów i smaczków nie posiada impreza, zorganizowana po raz trzeci w Łodzi z inicjatywy Ośrodka Propagandy Partyjnej Komitetu Łódzkiego. Co się działo w dniach 24—26 października br. w sali kinowej i kuluarach Spółdzielczego Domu Kultury, który użyczył gościny blisko 450 uczestnikom III Przeglądu Filmów Społeczno-politycznych? Otóż w przeciwieństwie do Festiwalu Filmów Dydaktycznych i Naukowych, w trakcie którego wygłaszano wiele teoretycznych, długich referatów oraz przydzielono wysokie nagrody grupie twórców filmów popularnonaukowych, impreza w sali „Lutni" była roboczym spotkaniem, konfrontacją opinii aktywu społeczno-politycznego, propagandowego z całego kraju z opinią dystrybutorów, producentów, twórców prezentowanych filmów.

Organizatorzy, wychodząc z bardzo słusznego założenia — potrzeby uatrakcyjnienia propagandy ideologicznej, społeczno-politycznej — widzą wielką szansę w filmie krótkometrażowym jako sugestywnej i komunikatywnej pomocy, przekonywającym dopełnieniu wykładów, prelekcji i rozmów w ramach zajęć szkoleniowych w zakładach pracy, podstawowych organizacjach partyjnych, ośrodkach propagandy partyjnej. Czego oczekują przyjeżdżający, co roku do Łodzi, uczestnicy Przeglądu, którzy w swoich środowiskach pracy stanowią pierwszą linię aktywu propagandowego, popularyzującego wśród ludzi pracy partyjnych i bezpartyjnych politykę partii? Oczekują filmów rzetelnie, odważnie informujących, filmów publicystycznych, ukazujących problemy i sprawy, z którymi boryka się na co dzień partia; czekają na filmy o działaczach państwowych i robotniczych, tworzących dawniej i dziś naszą państwowość, partię.

Dysponowanie takimi filmami wzmacnia działalność naszej propagandy, wielokrotnie może decydować o tym, czy głos partii jest słyszalny i jak jest słyszalny, czy po prostu zwykli ludzie będą wierzyli partii, czy głoszone hasła będą miały pokrycie w czynach, które należy zaprezentować, spopularyzować, przekonać tych, którzy pytają i dać argumenty tym, którzy na co dzień, nie z urzędu i wysokiej funkcji partyjnej muszą odpowiadać sensownie, przekonywająco, po ludzku.

Pytanie, czy nasze polskie filmy krótkometrażowe produkowane przez krajowe wytwórnie i studia filmowe oraz realizowane w telewizji pomagają w tej ważnej codziennej rozmowie partii z narodem? Trudne pytanie i trudna odpowiedź. Byłbym niesprawiedliwym i krzywdziłbym gdybym jednoznacznie odpowiedział, że polski film krótkometrażowy nie dostarcza rokrocznie pozycji filmowych o wysokich walorach artystycznych i treściach społeczno-politycznych. Przecież dorobek warszawskiej Wytwórni Filmów Dokumentalnych, wspieranej również filmami o tematyce społeczno-politycznej realizowanymi w Wytwórni Filmów Oświatowych w Łodzi, w Wytwórni Filmowej „Czołówka" czy także w łódzkim „Semaforze" liczy się w dziesiątki filmów, dostrzeganych przez krytykę i fetowanych nawet „Lajkonikami" i „Smokami" w Krakowie lub na innych festiwalach i przeglądach, których rodzi się w Polsce z roku na rok coraz więcej i chyba za dużo...

Wracając do łódzkiego Przeglądu Filmów Społeczno-politycznych nasuwa się refleksja, że programowanie filmów o treściach politycznych i społecznych, propagandowych jest procesem spontanicznym, opierającym się przede wszystkim na inwencji i chęciach samych twórców krótkiego metrażu filmowego oraz redakcji pracujących w poszczególnych wytwórniach i w telewizji, która reaguje jednak szybciej w stosunku do wytwórni filmowych, działających zbyt powoli w obecnym chyba już przestarzałym systemie organizacyjnym naszej kinematografii. Ostatni przegląd w kinie „Lutnia" przedstawił nawet sporo ciekawego materiału filmowego — na przykład telewizyjny reportaż Andrzeja Czałbowskiego, Henryka Kolata i Romana Petryckiego — „NRF w godzinie ratyfikacji", czy telewizyjna „Walka z cieniem" M. Szumowskiego. Filmy te uzyskały w plebiscycie widzów, uczestników uprzeglądu pierwsze lokaty spośród 33 wyświetlonych filmów. Nie bez kozery powtarza się przy wymienionych filmach określenie „film telewizyjny". Nie jest to określenie gatunku, ale wskazuje, że zespoły dziennikarskie i realizatorskie pracujące w TV mogą reagować szybciej i operatywniej niż redakcje oraz realizatorzy WFD, czy WFO lub „Czołówki". Warszawska WFD zaprezentowała w „Lutni" m. in. wyróżniony przez uczestników przeglądu film J. Jaraczewskiego „Wznoszę pomnik" (nagrodzony na tegorocznym festiwalu w Krakowie) — dobry przykład publicystyki, ale zrealizowany przez przypadek, przy

Zarzut braku programu niepodległościowego adresowany w stronę polskiej lewicy socjalistycznej, boć przecież o nią chodzi, gdy mowa o nurcie wysuwającym postulaty „rewindykacji socjalnych", jaki formułuje A. Micewski zgodnie z tradycjami publicystyki endeckiej, jest **nieuzasadniony** i mógłby się ostać chyba tylko wtedy, gdybyśmy wzorem niedobrych praktyk sprzed lat potraktowali jako nie istniejący cały niepodległościowy nurt socjalizmu. **Problemu niepodległości w polskim ruchu socjalistycznym nie widzimy dzisiaj tak uproszczenie, jak niegdyś, i zdawałoby się, że można byłoby wymagać, aby piszący o tym znali już podstawowe ustalenia i ujęcia, choćby tylko te, które są zawarte w pracach Jerzego J. Wiatra „Naród i państwo" (1969), Wiesława Bieńkowskiego monografii o Kazimierzu Kelles-Krauzie (1969) a zwłaszcza w dziele Mariana Żychowskiego o Bolesławie Limanowskim (1971), by wymienić kilka ostatnich, większych tylko publikacji.** Dodam jeszcze, że w świetle nie ukończonych badań Haliny Winnickiej nad świadomością historyczną socjalistów polskich końca XIX wieku okazuje się, że w praktyce codziennego działania i myślenia sprawa konieczności również i narodowego wyzwolenia Polaków była jeszcze bardziej obecna, niż w refleksji teoretyków i to nie tylko na prawym skrzydle ruchu.

Zestawiając chronologię pierwszych enuncjacji w sprawie niepodległości Polski, jakie wychodziły z kręgów lewicy, z wystąpieniami prawicy społecznej **ewidentne okazuje się pierwszeństwo socjalistów w porównaniu z przyszłymi endekami, ujawnia się** — wbrew wypowiedziom R. Dmowskiego i stanowisku A. Micewskiego — **że w czasie, kiedy przyszła endecja dopiero przemyśliwała nad swym programem, polska lewica wydawała ze swego grona konkretne myśli w sprawie odzyskania przez naród polski należnej mu niepodległości.** Sprawy te były już wtedy — jak dobrze wiadomo — przedmiotem ostrych sporów w łonie obozu socjalistycznego, kontrowersji, które prowadziły do polaryzacji stanowisk, ale nie przesłania to faktu, że właśnie na tym społeczno-politycznym gruncie jęły się wypracowywać nowe drogi przyszłej niepodległej Polski.

Rozumiał to dobrze R. Dmowski, więc rozwinął akcję, mającą na celu przywłaszczenie programu narodowego i uczynienie zeń oręża o ostrzu antyrewolucyjnym i antydemokratycznym, wykorzystując znakomicie wewnętrzne rozdarcie środowisk socjalistycznych. Akurat odwrotnie, niż sądzi A. Micewski: nie brak programu narodowego na lewicy, ale właśnie jego wykluwanie się, oto, na co reagowali twórcy kierunku wszechpolskiego.

A. Micewski najsłuszniej podkreśla na licznych kartach swej książki, że ruch narodowo-demokratyczny stanowi alternatywę zdecydowanie antysocjalistyczną i antydemokratyczną i tutaj znajdowała się siła, która spychała go coraz bardziej na prawo. Ów alternatywny charakter miał również narodowy program endecji, nie tylko w stosunku do socjalistycznego programu społecznego, lecz również formułowanego na gruncie socjalizmu programu narodowego i niepodległościowego. Więcej: A. Micewski nie ukrywa, że z owym programem niepodległościowym endencji bywało różnie i że zarzuty, jakie w tych sprawach pod jej adresem padały, nie były znów całkiem bezzasadne. W obliczu nasilenia konfliktów społecznych również i pod tym względem obóz ten wykazywał objawy regresu...

Błędna — w moim przekonaniu — **perspektywa, z której spogląda A. Micewski na dzieje socjalizmu, prowadzi do dalszych chybionych ujęć.** Prawda, że autor dość enigmatycznie powiada o udziale przyszłej endecji w różnych obchodach patriotyczno-rocznicowych, jakie podejmowano w końcu XIX wieku. I tu również wpisywanie tych manifestacji jedynie na konto Ligi Narodowej jest przesadą i nic nie zdezaktualizowało dawno wypowiedzianego zdania Wilhelma Feldmana:

„Nie pochodziły te wszystkie roboty i inicjatywy Ligi, ale jej członkowie umieli ujmować je energicznie, koncentrować, nadawać kierunek".

Na doniosłą rolę Ligi godzić się trzeba, ale na jej wyłączność w budzeniu i rozwoju świadomości narodowej i patriotyzmu mas, zgodzić się niepodobna.

FASCYNACJA...

A. Micewski rozpatruje swego bohatera z trzech punktów widzenia. Przedstawia sylwetkę człowieka o indywidualności może — przynajmniej dla wielu — wielce nieprzyjemnej, ale na pewno też i nieprzeciętnej. Potrafi wedrzeć się do osobistych tajemnic swego bohatera, stara się zgłębić zagadkę jego starokawalerstwa, dojrzeć echa najgłębiej ukrywanych, osobistych spraw. W tej sferze zagadnień liczy sobie A. Micewski wiele sukcesów, zaś wspomnienia i relacje bliskich bohatera, tak zawodne w innych sprawach, tutaj okazały się nieocenione.

R. Dmowski — polityk, to już krąg problemów, których ujęcie często budzić może zastrzeżenia, choć i tutaj sięgnięcie do nieznanych źródeł rękopiśmiennych, zwłaszcza z okresu wersalskiego, pozwoliło autorowi na uzupełnienie wiedzy historycznej o istotne szczegóły. Najmniej fortunne ze wskazanych wyżej przyczyn, wydaje się ujęcie wczesnej działalności politycznej R. Dmowskiego; w odniesieniu do okresu międzywojennego autor niewiele wykroczył poza to, co już wcześniej powiedział w swoich książkach.

Temperament publicysty każe mu niekiedy bronić swego bohatera tam, gdzie jego polityka może się spotkać z bardzo różnymi ocenami, ale nie dzieje się to kosztem przemilczania kroków, których obronić by nie sposób, np. w okresie 1905 roku. Obrona jest jednak wyraźna, choćby wówczas, gdy A. Micewski omawia problematyczną przecież wyprawę japońską swego bohatera. Dmowski, namawiając Japończyków do niepopierania polskich pomysłów powstańczych — zdaniem autora — **„okazał się (...) graczem wybornym, przez umiejętność wnikliwego, głębokiego spojrzenia na problemy i wyjaśnienia ich innym".** Takich dowodów uznania dla polityka jest więcej.

Zrozumiałe jest podkreślenie doniosłego znaczenia postawienia przez R. Dmowskiego sprawy polskiej jako problemu międzynarodowego i zdanie o tym, że był on **„pierwszym polskim politykiem tego okresu, który dostrzegł zarodek konfliktu europejskiego w przesunięciu się równowagi sił na korzyść Niemiec i w ekspansji niemieckiej na południowy wschód".** Jest tu też znane z książki o geografii politycznej II Rzeczypospolitej uznanie, jakie żywi A. Micewski do geopolityki R. Dmowskiego, tej geopolityki, która przecież w swej istotnej części tak dotkliwie wzięła w łeb za sprawą programowej niechęci prawicowego polityka do dostrzegania rzeczywistości, gdy była ona rewolucyjna. Jest wreszcie u autora bardzo, bardzo optymistyczna charakterystyka triumfów pana Romana w Wersalu...

Wreszcie: **R. Dmowski — ideolog.** Ten krąg problemów w ujęciu A. Micewskiego budzi, jak wiemy, **najwięcej zastrzeżeń.** Na konto autora zapisałbym tu właściwie tylko jeden bezapelacyjny sukces: fascynujący rozdział o jego bohaterze jako autorze dwóch mało znanych powieści, wydanych pod pseudonimem Kazimierza Wybranowskiego, zatytułowany „Powieściopisarz — czyli spiskowa teoria historii". Nie dziwię się, że na łamach „Tygodnika Powszechnego" wciąż snuje się domysły, kto był współautorem drugiego z tych utworów „Dziedzictwa", ukrywającym się (tylko w jego pierwszym wydaniu) pod pseudonimem Jerzego Zawady. Może przyjaciel R. Dmowskiego, świetny historyk literatury, I. Chrzanowski, czemu dziś stanowczo zaprzecza córka uczonego. A może pasjonujący się problematyką masońską historyk, Kazimierz Marian Morawski, lub zgoła kto inny?

...I WYRZUTY

Pomimo całej swojej hamowanej fasycynacji bohaterem, nie poskąpił mu A. Micewski w zakończeniu trafnych, uzasadnionych, gorzko brzmiących pod piórem autora wyrzutów. Te strony książki zdają się być głęboko przemyślane, i chociaż nie każdy zaakceptuje wszystkie sformułowane tutaj sądy, nie sposób nie ocenić zmagań autora z materią przedmiotu, jego rozterek i rozczarowań, które go do tych sądów zaprowadziły.

Na tych — jednych z najlepszych — kartach pracy A. Micewskiego brakuje mi tylko jednego: próby wyjaśnienia, jak mogło dojść i doszło, znacznie po śmierci R. Dmowskiego, do spotkania diametralnie różnych światopoglądów w jednej i tej samej, przez obie strony uznanej za wielką sprawie: obecności Polski nad Odrą i Nysą. Ale jest to już całkiem inna historia, historia odnajdywania przez niektóre niegdyś endeckie kręgi — wbrew swojemu do niedawna stronnictwu — drogi do nowej polskiej rzeczywistości, historia nowych, jakże trudnych wyborów w nowych, niełatwych czasach narodzin Polski Ludowej.

W książce A. Micewskiego zbyt często ziarno miesza się z plewą, za wiele chwastów oplotło się wokół spraw najistotniejszych i najbardziej kontrowersyjnych. Nie mogę admirować warsztatu i metod użytych przez autora, niezależnie od tego, czy uprawia on dziejopisarstwo, czy też publicystykę historyczno-polityczną. Wiele mam mu za złe, w odniesieniu do tego, jak zrealizował on swoją książkę, na pewno nie do tego, że ją napisał. **Jeśli miałbym wybierać, to z dotychczasowego naszego piśmiennictwa o dziejach obozu narodowo-demokratycznego, podobnie jak Andrzej Garlicki, opowiedziałbym się za historiografią Jerzego J. Tereja i jej podobną. Ale staram się dostrzec również i to, co jest sukcesem A. Micewskiego; największym, że pokusił się o tę ambitną, chociaż nie najlepszą, ale przecież pierwszą u nas książkę o Romanie Dmowskim.**

---

okazji dokumentacji w terenie filmu instruktażowego. W tym wypadku świadczy to bardzo dobrze o operatywności i społeczno-politycznej wrażliwości realizatora. Skądinąd wiadomo, że redakcje i realizatorzy WFD, a także choć w mniejszym stopniu WFO reagują na tematykę polityczną, propagandową, reagują na tematykę społeczno-polityczną zgłaszając w ramach tzw. planów tematycznych akceptowanych przez Naczelny Zarząd Kinematografii oraz „Filmos" — Centralę Filmów Oświatowych, rozpowszechniającą wszystkie filmy krótkometrażowe (także dokumentalne, publicystyczne) w środowiskach, szkołach, zakładach pracy. Niestety, tematy wielokrotnie zostają na papierze, bo albo czas trwania akceptacji planów dezaktualizuje dany temat (wydarzenia społeczno-polityczne nie czekają na przyjazd ekip filmowych WFD czy WFO), albo „Filmos", który na przeglądzie w Łodzi zebrał tyle pochwał, nie widzi możliwości... rozpowszechniania proponowanego filmu.

W tym ostatnim przypadku sporo doświadczeń ma łódzka WFO, której nie zakwalifikowano na ostatni przegląd kilka ciekawych pozycji o tematyce społeczno-politycznej, jak: „Spotkanie z generałem" R. Wionczka, realizowane dla TV — interesująca opowieść gen. Berlinga o formowaniu w ZSRR 1 Armii Polskiej, tego samego autora „10 kołobrzeskich dni", film zrealizowany przy współpracy red. Alojzego Srogi o przebiegu bitwy o Kołobrzeg, którą w filmie relacjonują m. in. Piotr Jaroszewicz i gen. Urbanowicz. Można jeszcze wspomnieć o filmach Konstantego Gordona, zrealizowanych we Francji przy wydatnej pomocy Francuskiej Partii Komunistycznej — „Uzbrojona wolność" (o udziale Polaków w Komunie Paryskiej), oraz „Saint Denis" (o merostwie komunistycznym w podparyskim 100-tysięcznym Saint Denis). Zastanawia mnie często owe autorytatywne stwierdzenie, że tego czy innego tematu widz w mieście lub na wsi nie zechce oglądać. Na podstawie czego, jakiego materiału sondażowego dochodzi się do takich wniosków, tak samo jak zadawałem to samo pytanie jednemu z członków Komisji Selekcyjnej tegorocznego przeglądu, dlaczego niektórych z wymienionych wyżej filmów WFO i TV nie zaprezentowano uczestnikom, którzy na takie filmy m. in. oczekują. Oczywiście, kładę to na konto ograniczonego czasu projekcji i czasu trwania samego przeglądu, ale postuluję, ażeby w roku przyszłym także Komisja Selekcyjna miała więcej czasu do selekcji.

Inna refleksja z tegorocznej bardzo pożytecznej imprezy w kinie „Lutnia". Nie ma w Polsce koordynatora polityki programowej, szczególnie w zakresie filmu społeczno-politycznego, którego realizacja wymaga szczególnej troski, rzetelności, a nawet odwagi mówienia prawd jeszcze mało popularnych dla nas samych, dla ogniw naszej administracji, ogniw gospodarki narodowej. W czasie dyskusji na sympozjum kończącym tegoroczny Przegląd Filmów Społeczno-politycznych padło słuszne wezwanie — czyńmy wszystko w pracy propagandowej tak, ażeby ludzie nam wierzyli, przekazujmy takie treści społeczne, polityczne, które uznane zostaną za treści życia każdego z nas. Przysłuchując się tej dyskusji patrzyłem na przedstawicieli krajowych wytwórni, Naczelnego Zarządu Kinematografii i „Filmosu". Wydawało mi się, że te wezwania działaczy społecznych i partyjnych, instruktorów szkolenia partyjnego, partyjnych i bezpartyjnych propagandystów trafiały celnie. Bowiem obiektywnie trzeba stwierdzić, że od ubiegłorocznego przeglądu zmieniło się w polskim filmie społeczno-politycznym wiele na lepsze.

I ostatnia refleksja. Cenię dobre antykwariaty, ale również bardzo szanuję dobrze, z głową działające księgarnie, umiejące oferować nowości, mam czasami wątpliwości, czy zasłużony dla polskiej kinematografii krótkometrażowej „Filmos" nie jest jeszcze zbyt często dobrym antykwariatem, a jeszcze zbyt rzadko operatywną, odważną w stosunku do odbiorców współczesną księgarnią. Z niecierpliwością będę czekał na przyszłoroczny Przegląd Filmów Społeczno-politycznych w Łodzi, na potrzebną społecznie imprezę bez fanfar i srebrnych lub złotych „Światowidów" czy „Łódek".

TEATR

JOYCE'OWSCY „WYGNAŃCY"

J. Joyce lubi wikłać swych bohaterów w sytuacje, z których trudno się wydobyć i znaleźć jakieś szczęśliwe rozwiązanie. Owi joyceowscy „wygnańcy" błąkają się samotnie w bezsensownym świecie i sami nieszczęśliwi unieszczęśliwiają innych. Dramat „Wygnańcy" jest chyba najbardziej autobiograficznym, osobistym utworem pisarza — dziwna miłość, zawiedzione uczucia, pojawienie się domniemanego rywala, będącego równocześnie bliskim przyjacielem. Jest to dramat wahania się między darowaniem ukochanej kobiecie absolutnej wolności w postępowaniu a równoczesnym poczuciem samoudręki z powodu bezpodstawnej zazdrości o nią.

Tragedia czwórki bohaterów w „Wygnańcach" polega głównie na niemożności porozumienia się. Wszyscy dążą do bezwzględnej niemal szczerości, chcąc dać się poznać takimi, jakimi są naprawdę. Ale przy tym wszystkim każdy z nich jest samotny, zaś wszelkie próby wzajemnego zrozumienia i uzyskania przez to wewnętrznego spokoju stają się wręcz nieosiągalne.

Ryszard z „Wygnańców" jest bez wątpienia jednym z owych autobiograficznych portretów autora. Odtwórca tej roli (Jan Zdrojewski) stworzył postać człowieka o trudnym, skomplikowanym charakterze, z którym nawet najbliżsi nie umieli nawiązać duchowych kontaktów. Często bywał zimny i nieprzystępny, starał się jakby prowokować swą cyniczną uprzejmością, oraz imponować ekscentrycznością zachowania i postępowania. Jednak pod tą pozorną pewnością siebie i nonszalancją można było zauważyć poczucie wyizolowania, zamykania się w sobie, samotności. Owe stany „na pokaz" stawały się w tej koncepcji formą samoobrony przeciwko temu co go otacza, każąc pamiętać ciągle o zmarnowanych szansach i uczuciach.

Berta to nikt inny jak Nora Barnacle — kobieta prosta, nieskomplikowana, bez żadnego wykształcenia. Właśnie z nią Joyce opuścił rodzinny kraj, udając się na wieczną tułaczkę i bezustannie przenosząc się z miejsca na miejsce. Wieloletnia towarzyszka życia pisarza nigdy nie czytała jego dzieł a pisanie uważała za dziecinną niemal zabawę. Dlatego też, mimo uczucia jakim darzył Norę, pisarz bardzo odczuwał swą duchową samotność. Rolę Berty w łódzkim przedstawieniu gra Hanna Bedryńska. Jest ona po kobiecemu niezaradna, szczerze naiwna i niezdecydowana w wyborze między dwoma mężczyznami. Ryszarda bez wątpienia kocha, lecz sprawia jej dużą przyjemność, że jeszcze ktoś darzy ją swym uczuciem.

Jeden zarzut — końcowe kwestie, które są właśnie w tej sztuce bodaj najważniejsze (Berta mimo swego niezdecydowania proponuje przecież Ryszardowi rozpoczęcie wszystkiego od nowa, wyleczenie się z dotychczasowych kompleksów oraz odnalezienie w sobie dawnej miłości) są wypowiadane przez aktorkę w sposób czysto formalny, a przez to nieprzekonywający. Może dlatego widz opuszcza salę z poczuciem jakiegoś niedosytu?

Robert w aktorskim ujęciu Ryszarda Dembińskiego jest zwykłym człowiekiem, który żyje przede wszystkim rzeczywistością i realnością dnia powszedniego. Nie stroni od pospolitych krętactw, małych kłamstewek i kombinacji. Lubi towarzystwo, prowadzi błyskotliwe dyskusje, a nierzadko potajemne flirty. Pod tą zewnętrzną maską kryje jednak wstydliwie wrażliwość, chęć odnalezienia prawdziwego szczęścia, pragnienie odnowienia dawnego uczucia. Lecz on także ponosi klęskę, wyrzekając się miłości i przyjaźni skazuje się dobrowolnie „na wygnanie".

Wreszcie Beatrycze — w wykonaniu Aleksandry Krasoń stała się ona istotą nieśmiałą, delikatną, pełną lęków i nieznanych kompleksów. Zagubiona, podobnie jak i pozostali „wygnańcy".

Jest jeszcze Brygida (Celina Klimczakówna) dawna piastunka Ryszarda. Postać ta została przez aktorkę ledwie naszkicowana. Brakowało jej opiekuńczego ciepła i przywiązania. Wygłaszane przez nią kwestie sprawiają wrażenie niezbyt dobrej deklamacji.

Joyce mawiał o sobie: „jestem najbardziej męczącym pisarzem, przynajmniej dla samego siebie". Stwierdzenie to wywodziło się chyba stąd, iż cierpiąc na pogłębiającą się ciągle chorobę oczu doszedł do wyrobienia w sobie bardzo specyficznego rodzaju artystycznej wrażliwości, typowej raczej dla kompozytora. Twórcy łódzkich „Wygnańców" pamiętali, iż dramat ten, podobnie jak i inne utwory Joyce'a, powstał z ducha muzyki. Stąd też zapewne pojawił się w przedstawieniu specyficzny, śpiewny styl mówienia. Jeśli nawet dla niektórych ten sposób wyrażania się trącił manierą, to była ona środkiem zamierzonym. Chodziło tu bowiem o wyeksponowanie wspomnianego stylu muzycznego, w którym muzyka słów gra rolę pierwszoplanową. Nawet w słabszych momentach sztuki owe rytmiczne wznoszenie się i opadanie słów pozwalało na skierowanie uwagi widza na samą choćby melodyjność joyce'owskiej frazy. A i monotonia słów wydaje się tu celowa; wtedy „zdania wloką się ociężale, sugerując zmęczenie wędrowców kroczących powoli do domu". (E. Naganowski).

Jednak mimo tylu dobrych stron spektakl ten nie posiada określonego klimatu. Obok bardzo interesujących miejsc pojawiają się momenty, w których brak jednolitej atmosfery ogólnego ściszenia, przytłumienia, pod którą przecież wre namiętność, żal, gorycz, ból, miłość, ukrywana zazdrość i udana obojętność. A za to ponosi winę chyba reżyser spektaklu.

MIECZYSŁAWA WALCZAK

Teatr Nowy. „WYGNAŃCY" — James Joyce. Reżyseria: Jerzy Zegalski. Scenografia: Marian Garlicki. Oprac. Muzyczne: Anna Płoszaj. Premiera: wrzesień 1972 r.

KAMIENNA DZIEWCZYNA

Dalszy ciąg na str. 1

szom z kuflami pełnymi piany i grubemu szynkarzowi. Cmentarza więc nie lękaliśmy się, z cmentarza, z cudzych śmierci żyliśmy wtedy od lat, od kiedy spaliła się nam nasza duża, murowana kamienica, warsztaty i magazyny, a ojciec stracił swoje przedsiębiorstwo i chwycił się za kamieniarskie rzemiosło. Do śmierci odnosiliśmy się poufale. Dla nas czyjaś śmierć to był nowy zarobek ojca, odwiedziny ludzi, którzy nieraz płacząc targowali się bardzo rzeczowo o płytę lub nagrobek. Wiedzieliśmy — dadzą zadatek, albo ostatnią ratę i matka pójdzie nam za to kupić buty albo przydźwiga z rynku koszyk z jedzeniem. Sygnaturka zza murów cmentarnych odzywała się za naszym domem równie często i była podobnie przyjmowana jak w mieście wołanie szlifierza, nooooże szlifuuu, albo żyda-handlarza, gaaarn taleee, który za stare szmaty dawał naczynia kuchenne.

Spenetrowaliśmy z Filipem cały cmentarz dębiński, cmentarz na Zarzeczu i za rogatką. Nigdzie śladu Skrzydlatej. Po daremnych poszukiwaniach wróciliśmy na Dębin, nad jeden z grobów. Przyglądaliśmy się porcelanowemu medalionowi z portretem młodej dziewczyny, wmurowanemu w prosty obelisk ze sztucznego marmuru, ale nie, to nie była podobizna naszej zguby. Siedzieliśmy w zamyśleniu na krawężniku grobu i nagle Filip zauważył, Maja, ty masz taki sam kosmyk na czole, zakręcony w znak zapytania jak ojcowa rzeźba.

Wzruszyłam ramionami, tobie też włosy kręcą się nad czołem, a jeden kosmyk tak się układa. I na tym sprawa była, jak na razie, wyczerpana. Ale pozornie, w sferze słów raczej, bo któregoś wieczoru, gdyśmy już leżeli w łóżkach, a Szymon posapywał przez sen i matka w pokoju obok szeleściła książką, Filip szepnął, Maja, śpisz? Mogę przyjść do ciebie?

Przydreptał boso, uważając, żeby podłoga nie skrzypnęła, usiadł w nogach łóżka, wsuwając stopy pod brzeg mojej kołdry i powiedział, a może ona w rzeczywistości wcale nie istniała? No, ta dziewczyna, którą ojciec wykuł w kamieniu. Może ją ojciec sobie wymyślił, albo może to jaka boginka mityczna. Szymek kiedyś naśmiewał się, nie szukaj jej, głupi, to na pewno Persefona. Zniknęła tak samo jak tamta. Poczekaj do wiosny, może wróci.

Słuchaliśmy przez chwilę chrobotu gałęzi o okap dachu nad oknem, szczękania łyżeczki o szklankę, dochodzącego z pokoju matki. Powiedziałam coś zupełnie przeciwnego memu przekonaniu, jeszcze ci ta rzeźba chodzi po głowie? Na pewno ta dziewczyna nie istniała. To z fantazji. Ty piszesz też z fantazji opowiadania na dowolny temat i najlepiej ci to wychodzi.

— Ale przecież ona — wskazał ruchem pokój matki — jak ją zobaczyła, szepnęła jakieś imię, nie słyszałaś? Ja słyszałem, tylko nie zapamiętałem, takie jakby obce, francuskie chyba. I ucieszyła się, kiedy ta dziewczyna zniknęła. Może to była ta jakaś ojcowa „Mignon z bukietem róż"?

Zagadałam Filipa, ech, może ojciec tak sobie wyobrażał typ kobiety, którą — —

Nie dokończyłam, „mógłby pokochać", czy — „która gdzieś istnieje i on przypomniał ją sobie teraz i wykuł, a może to tęsknota do młodości kazała mu zrobić w kamieniu taką młodą i piękną istotę". Zamiast tego wszystkiego mędliłam coś niepewnie, rzeźbiarze nieraz rzeźbią różne posągi z tego i nie z tego świata. Idź lepiej spać, nie myśl o tym.

— Ale gdzie mogła się podziać? Pod ziemię się zapadła? A może stoi w jakim parku albo pałacowym ogrodzie. U Fryderyka nad sadzawką jest kilka nereid, też są młode i ładne.

Dopiero w rok potem, Szymon już wtedy był we Francji, okazało się, gdzie jest kamienna dziewczyna. Filip przygnał do domu przez łęgi, nagi i mokry, prosto z rzeki, dopadł mnie w maliniaku, Maja, chodź, znaleźliśmy ją. Nurkowaliśmy z Pawłem nieraz w tym miejscu, bo tam było widać jakiś zamulony kamień, uderzyłem kiedyś o niego głową, o mało co nie rozbiłem sobie makówki, jak dawałem szczubla do wody. Chcieliśmy wyciągnąć to na płyciznę, ale było za głęboko i wbite w dno jak meteor. Teraz woda opadła, to jest już na skraju mielizny. Chodź, wytachamy to na łachę.

Wkrótce znalazłam się przed dziewczyną. Filip jeszcze nurkował szukając poutrącanych skrzydeł, gdy naraz Paweł powiedział, wiesz, ty jesteś podobna do niej, tyle że jeszcze chuda jak patyk, ale za rok, dwa — —

— Co ty? — byłam bardziej zdumiona myślą, że ojciec mógł wyrzeźbić dziewczynę podobną do mnie, niż zagadką, w jaki sposób ona tu zawędrowała.

Paweł wziął moją rękę w swoją i prowadził moje palce po profilu dziewczyny; po zarysie brwi, po nosie z garbkiem, nieco skośnych policzkach, potem po szyi. Masz takie same czoło, nos, brodę i ten kosmyk — —

Po sekundzie ja odstąpiłam o dwa kroki, szarpnęłam się, bo moje palce, prowadzone jego ręką, zsunęły cię poniżej obojczyka i poczułam, że mnie oblewa rumieniec. Paweł spostrzegł to i jakby dla zmylenia swojego poprzedniego gestu, zaczął zdrapywać z szaty, okrywającej pełne piersi dziewczyny, jakieś drobne muszelki i supły wodorostów. Odezwałam się nienaturalnym głosem, szybko, aby zamazać tamtą niezgrabną chwilę pomieszania, Paweł, ona nie może tutaj zostać. Rzeźba na mieliźnie w rzece?

Rozglądałam się po okolicy. Tędy prowadziła droga do zamku w Nagrabowicach, po tej stronie brzegu widać było tuż za rzadkim zagajnikiem z młodych brzóz domek nauczyciela, Filip chodził do niego na lekcje skrzypiec. Po drugiej stronie rzeki stał pretensjonalny domek z wieżyczkami, nazywaliśmy go „pałacykiem", należał do rodziców Fryderyka, kolegi Filipa. Myślałam o tym, że może ojciec zrobił tę rzeźbę na zamówienie któregoś z mieszkańców tej okolicy, może nie przypadła zamawiającemu do gustu i pozbył się jej, strącając ją do rzeki.

— Wiesz co? Zepchniemy ją z powrotem tam, gdzie była. Tylko teraz dokładnie w sam środek Diabelskiego Dołka, niech tam zniknie, skoro ją raz już utopiono.

Potem z Filipem i Pawłem leżeliśmy na wznak w słońcu na mieliźnie zrytej posągiem. W końcu Filip gdzieś zniknął, poszedł chyba do Fryderyka za rzekę, bo słyszeliśmy strzelanie, pewnie znowu łupili do kawek i wiewiórek. Po jakimś czasie Paweł obrócił się na brzuch, dotknął mojego kosmyka na czole, potem wiódł palcem, jak przed chwilą po twarzy posągu, po moich brwiach, profilu nosa, zjechał niżej i delikatnym jak puch dotknięciem obrysował kształt moich ust. Spojrzałam na niego podejrzliwie i płochliwie, nie podobał mi się jego żabi wzrok, nie lubiłam takich oczu, takich dotknięć. W ogóle nie lubiłam czułostek, śmieszyły mnie i peszyły. U nas w domu całowało się tylko w rękę matkę, ojca albo dziadka, najdrobniejsze objawy czułości zbywano szydliwie „co się ciaćkasz?"; ujawnianie uczuć było w ogóle czymś wstydliwym.

Usunęłam szybkim ruchem głowę spod ręki Pawła, bo jednocześnie z zażenowaniem ogarnęła mnie niechęć [illegible]ęk, może właśnie dlatego, [illegible]gle zapragnęłam tego, cz[illegible] nigdy nie robiła moja mat[illegible], ani ojciec, aby Paweł objął mnie i przygarnął do siebie i powiedział coś tkliwego, aby pękł zamróz, w jakim żyłam. Nie, to jeszcze nie tak było, w tym momencie raczej, pod wzrokiem i dotykiem Pawła, uświadomiłam sobie wyziębiający, martwy chłód naszego domu i zapragnęłam poddać się wzruszeniu, jakie mnie naraz ogarnęło. I właśnie dlatego usiadłam gwałtownie na piasku, odsuwając Pawła, burknęłam, zostaw mnie, nie chcę.

Spojrzał na swoją odtrąconą rękę, zapytał niepewnie, boisz się mnie czy mnie tak bardzo nie lubisz?

— Nie, tylko — — Ty lepiej nie zaczynaj ze mną. Przyjedziesz tu na święta czy na wakacje, a tam przez cały rok masz pełno swoich studentek i z nimi pewnie — —

— To nie ma nic do rzeczy. Chodź tu, nie uciekaj, chcę z tobą porozmawiać. O czym? O tobie, o nas obojgu.

I właśnie wtedy zapytał mnie, czy zaczekam na niego, aż skończy w kraju studia, pojedzie na dwa lata do Szwajcarii i wróci stamtąd.

— Aha — roześmiałam się, obiecanki cacanki — wrócisz jak nasz Szymon, miał być w lipcu w domu, a sierpień już się kończy i jego nie ma. W ogóle nie przyjedzie na te wakacje. A może na żadne. Smakuje mu ta zagranica. Jemu tam lepiej niż tu, z nami. Z tobą też tak będzie.

I odbiegłam na brzeg mielizny, aby ochłodzić się w wodzie, bo nagle zrobiło mi się gorąco i wstyd, że tyle z jakimś mimowolnym żalem napaplałam. Paweł zawołał, nie uciekaj! Przypadł do mnie, gdy byłam już na pół zanurzona, wyciągnął mnie z rzeki, podniósł i postawił na nogi. Krzyknął, nie śmiej się, ja mówię poważnie, odpowiadaj, skoro cię pytam. I dopiero po sekundzie wahania, a może ty już masz kogoś — —?

Śmiech mi się nagle sam urwał, zaskoczyła mnie jego czerwona od wzburzenia twarz. Przestraszył mnie. Wysuwałam się już bez szamotania, ostrożnie, z jego rąk, bo mnie ciągle jeszcze trzymał za ramiona. Paweł, puść mnie, ja mam zaledwie piętnaście lat, za dwa lata dopiero skończę szkołę, a ty pojedziesz za granicę i wrócisz za trzy — —

A on — tak, i wtedy będziesz miała osiemnaście lat i przez ten czas Bóg wie, co może się z tobą stać, i na wszystko będzie za późno.

Pytałam, na co za późno?, aby potwierdził słowami to, czego się domyślałam takim niewiedzącym wiedzeniem. I on wreszcie wydusił to z siebie, czy zaczekasz, aż wrócę, i wyjdziesz za mnie, nie uciekniesz mi przez ten czas?

Patrzył na mnie tak, jak na nie wyrośniętą roślinkę, którą trzeba jeszcze ostrożnie i czujnie hodować, zanim będzie gotowa do zerwania; ja wiedziałam, że on nie stronił od różnych starszych dziewcząt i kobiet, i tam na studiach też z dziewczętami pewnie nie odrabiał tylko zadań z geometrii, ale pochlebiało mi trochę to ostrożne chodzenie koło mnie, czułam się odrobinę ważna — nie tak jak w domu, i jakby lepsza od innych, a może sama od siebie. Ale przypomniałam sobie matkę i ogarnęła mnie niechęć do myślenia, co będzie za dwa, trzy lata. Ty, Paweł, lepiej nie mów nic takiego, po co sobie obiecywać czekanie, wyjedziesz, poznasz kobiety z wielkiego świata, na co ci ja, taki szczurek z miasteczka nad mętną rzeczułką, córka dłubkagróbka?

Chciał protestować. Położyłam mu rękę na ustach.

To, co zapowiadał, wydało mi się dalekie, nierealne i nieprawdopodobne wobec tego, co matka mówiła o mojej przyszłości. Paweł, ty lepiej nie licz na mnie, ona nigdy na to nie pozwoli, póki ja — —. I ja w ogóle nie mam zamiaru wychodzić za mąż, nieprędko w każdym razie. Z domu tak — uświadomiłam sobie wtedy, że ja tylko czekam, aby skończyć szkołę i iść z domu, wyjechać gdzieś daleko, ale o tamtym nie myślę. Nie miej żalu, Paweł, ja — — ja w ogóle nie rozumiem, po co ludzie wiążą się i mieszkają razem, jeżeli między nimi potem jest tak, jak między moimi starymi. Jedno sypia na górze, czyta coś, pisze po nocach, zamyka to w szufladach, drugie ma swoje odrębne życie na dole, na stoku. Oni żyją obok siebie jak odgrodzeni szklaną ścianą, w innych światach, a drugą ścianą oddzieleni od nas. Ja nie rozumiem, ja nic nie wiem o mojej matce, o ojcu. Dlaczego jest tyle tajemnic między ludźmi?

◆ ◊ ◆

Przypomniały mi się kroki ojca idącego po schodach w górę, skrzypienie drewnianych stopni, jego szept, Małgorzato, śpisz? Jej milczenie i pstryknięcie kontaktu przy lampce nocnej, nagła ciemność w szparach drzwi. Potem tłumiony odgłos jego stąpania w dół; szedł ostrożnie pewnie dlatego, abyśmy jego kroków do matki na górę i z powrotem nie słyszeli.

Kiedy był na parterze, huknął drzwiami, aż dom zadrżał. Już mu nie zależało na tym, aby nas nie pobudzić, przeciwnie. W końcu wyszedł z hałasem przed dom, wziął konia z bryczką i głośno strzelając z bata znowu pojechał — wiedzieliśmy — do restauracji swojego kumpla-reemigranta, Mateusza, nazwanej z francuska „Szampania u Mignon".

Filip oddychał równo; nie zbudził go stukot? Matka? Nadstawiłam ucha, ktoś jakby płakał. Wstałam ostrożnie, przeszłam przez pokój chłopców, stanęłam w jej progu, rzuciłam, dlaczego nie wpuszczasz go, jak przychodzi do ciebie, a potem płaczesz, kiedy jedzie do Mateusza i do tej jakiejś Mignon z bukietem róż?

Oślepiło mnie nagle światło; błysnęło na sekundę; zapaliła je i zgasiła szybko, jakby chciała tylko pokazać mi swoją twarz. Była spokojna, niczym nieporuszona, o suchych, bez jednej łzy oczach.

Stałam przez chwilę w progu, wpatrując się w to miejsce, gdzie powinna spoczywać na poduszce jej głowa. Dopiero wtedy uderzył mnie wygląd matki, gdy zobaczyłam jej włosy nie przykryte chustką, jaką nosiła we dnie; były jeszcze zupełnie ciemne, pozwijane w sprężyste kędziory; jeden kosmyk, skręcony w znak zapytania, opadał jej na czoło. Coś mi się przypomniało, wstrzymałam mimowolnie oddech w piersi, już już miałam na ustach pytanie, czy to mamę wyrzeźbił wtedy ojciec, pamięta mama, gdy ona powiedziała z ciemności, czego stoisz? Czego chcesz? Czy ci źle tak, jak jest? Ja w twoich latach czołem biłam o podłogę, żeby mi pozwolono się uczyć. A ty? Do gimnazjum chodzisz, na uniwersytet pójdziesz, swój pokój masz, jeść co masz, odziać się w co — także, chciałam, żebyś uczyła się grać na fortepianie, nie miałaś ochoty. Czego ci jeszcze do szczęścia brakuje? Ptasiego mleka?

Odcinała się ode mnie, od mojego współczucia, od mojego pośrednictwa między nimi, chęci pojednania ich. Odparłam tak samo sucho, jak ona do mnie mówiła, niczego nie chcę, jest mi bardzo dobrze, wszystko mam, tylko — —

Chwilę czekała, wreszcie powtórzyła: „tylko?".

Wzruszyłam ramionami, jeżeli mama uważa, że to jest wszystko, czego trzeba do szczęścia, to — —

Rzuciła ostrym szeptem, a czego ty się jeszcze spodziewasz?

— Niczego.

Odwróciłam się na pięcie. Zatrzymała mnie, stój, nie odchodź. Myślałam, że zacznie się między nami jakaś pierwsza szczera rozmowa, miałam już wtedy piętnaście lat. Stanęłam, ale ona wtedy rzuciła szorstko, Paweł za często tu przychodzi i pyta o ciebie.

— No to co?

— Nie wolno ci z nim chodzić i wylegiwać się półnago po łęgach i na plaży. Zabraniam. Nie wolno ci myśleć o głupstwach, dopóki nie skończysz uniwersytetu.

Zawróciłam, machnęłam ręką, nie bój się, nic z tego nie wyniknie. W każdym razie nic głupiego. Jeżeli on ma jakieś zamiary, to chyba poważne.

Wtedy właśnie matka roześmiała się, pamiętam ten śmiech do dziś, było to jak smagnięcie batem przez twarz. Nie, nie był to nawet śmiech, a chichot, obraźliwy, tłumiony, aby nie obudził się Filip, aby ojciec nie słyszał, jeżeli cichaczem wrócił do domu.

W ciemności poczułam, że się czerwienię po korzonki włosów. Nie śmiej się — krzyknęłam — co w tym śmiesznego, że chłopak myśli poważnie o dziewczynie? Gorzej, gdyby myślał — —

Przestała się śmiać, powiedziała z irytacją, ty szczenię, dopiero co wyszłaś z pieluch. O czym ty myślisz?

Odgryzłam się, a mama ile miała lat, gdy wyszła za ojca?

— To były inne czasy, inne życie w ogóle, ja — —

No i wtedy zaczęło się. To zło między nami. Szłam już do siebie, gdy ona wstała gwałtownie, bo łóżko skrzypnęło wszystkimi sprężynami, jej bose stopy zaplaskały po podłodze, nad moim uchem rozległ się ostry szept, na ramieniu poczułam mordercze zaciśnięcie jej palców. Zaczekaj, chodź tu — ciągnęła mnie w głąb swego pokoju, przymykając drzwi, aby Filip nie słyszał. Powlokła mnie, ogłupiałą, na klęcznik przed krucyfiksem, to był piękny, stary, rzeźbiony klęcznik, rzuciła mnie na kolana i — przysięgaj przed Bogiem, że nie będzie mowy między tobą a Pawłem o niczym takim, dopóki nie będziesz miała uniwersyteckiego dyplomu. Powtarzaj za mną, przysięgam Panu Bogu Wszechmogącemu w Trójcy Świętej Jedynemu — —

Komedia! Wyrwałam moją dłoń z jej ręki, którą przyłożyła do stóp Ukrzyżowanego, syknęłam, puść mnie, ja o niczym takim z Pawłem nie rozmawiam, ja tylko wiem, o czym on myśli, czuję to. Czego mama chce, to mama nasuwa mi głupie myśli.

— Czego ja chcę? Nie chcę, żebyś leciała jak ćma w pierwszy lepszy ogień, zanim sobie nie upatrzysz kogoś godnego i nie wybierzesz tam, w świecie, nie tutaj, tu nie masz żadnego wyboru, tylko to, co ci w ręce wchodzi. Ale najpierw musisz być wykształcona, wolna, niezależna, żebyś sobie mogła stworzyć — —

I wtedy wyrecytowała jednym tchem coś, co zabrzmiało w jej ustach obco, jak cudze słowa powtarzane tak często, aż stają się podobne do wykutej na pamięć lekcji, żebyś mogła sobie stworzyć świat autentycznych wartości, tak, i żebyś mogła odejść, gdy zobaczysz, że popełniłaś pomyłkę w wyborze, odejść nawet wtedy, gdybyś już miała dzieci. Żebyś mogła żyć jak — — jak — — zająknęła się wreszcie i wykrztusiła — jak ja pragnęłam żyć, a nie mogłam.

Byłam zdumiona, zaskoczona, patrzyłam z ciekawością na jej twarz bladą w smudze księżyca, na ten roztrzęsiony lok nad czołem. Z całego jej pośpiesznego, zadyszanego bełkotu wychwyciłam ów „świat autentycznych wartości" (skąd to do niej?) i to „żebyś mogła żyć, jak ja chciałam, a nie mogłam".

W ciemności, która pozwalała ukryć zbyt obnażoną twarz, wymknęło się jej z ust coś, co rzuciło nikły strumień światła na jej przeszłość, na jej wybór. Po sekundzie już jakby pożałowała pochopnego, może mimowolnego zwierzenia, bo dokończyła sucho, zapamiętaj to sobie raz na zawsze, a teraz już idź, bo rano znów nie będę mogła cię obudzić.

Nie poruszyłam się jeszcze przez sekundę. W świetle księżyca połyskiwały zamki i inkrustacje na przedmiocie, który był czymś niezwykłym w tym skromnie urządzonym pokoju, na tej biedermeierowskiej sekreterze.

◆ ◊ ◆

Właśnie o tym wszystkim myślałam, wówczas, tam, na plaży, kiedy Paweł zapytał, czy wyjdę za niego, a ja odparłam, po co, żeby było tak samo jak między moim ojcem a matką?

— Z nami będzie zupełnie inaczej, zobaczysz, przekonasz się — niemal krzyknął.

Milczałam. Zajrzał mi w twarz, nie wierzysz mi, zapytał.

Nie umiałam mu nic odpowiedzieć, nic dać w zamian za ten wyraz tkliwego oczekiwania — —

WANDA KARCZEWSKA

Fragment powieści „Głębokie źródła", która ukaże się wkrótce nakładem „Czytelnika". Akcja dzieje się w latach 1918—1965. Maja, występująca w powyższym urywku jest jedną z kilku postaci Narratorów, kobiet i mężczyzn, opowiadających kreowaną przeszłość (każdy) w pierwszej osobie. Nie należy więc ani utożsamiać autorki z Narratorką, ani przypisywać jej postawy któregokolwiek Opowiadacza, o d a u t o r s k a bowiem w „Głębokich źródłach" jest tylko propozycja, aby Czytelnik sam stworzył sobie obraz powieściowej przeszłości, złożywszy wszystkie poszczególne czasem uzupełniające się, niekiedy wręcz sprzeczne ze sobą widzenia opowiedzianych zdarzeń i — by stąd wyciągnął wnioski o procesie p o z n a w a n i a r z e c z y w i s t o ś c i w ogóle.

POLEMIKI

SIOSTRA MIŁOSIERDZIA CZY CHŁOPAK DO WSZYSTKIEGO?

Z dużym zainteresowaniem czytałem w numerze 45 „Odgłosów" z 5. 11. br. dyskusję Andrzeja Hampla i Bogumiła Maciejewskiego, której przedmiotem była krytyka artystyczna w ogóle, a jej poziom w Łodzi — w szczególności. Ponieważ moim skromnym zdaniem ten ważki temat nie został wyczerpany do końca (konia z rzędem temu, kto tej sztuki dokonał!), a w trakcie lektury nasunęły mi się pewne uwagi, pragnę słów kilka na powyższy temat wtrącić, nie uzurpując sobie przy tym najmniejszych pretensji do rozstrzygania sporu i stawiania przysłowiowej kropki nad „i".

Otóż wydaje mi się mianowicie, że te wszystkie gromy spadające na krytykę i krytyków, te wołania pełne grozy i świętego oburzenia, iż krytyki nie ma wcale, lubo jest bardzo maleńka i gdzieś się zaszyła, są w moim pojęciu nieco przesadzone i co najmniej jednostronne. W rozgardiaszu tegoż pomstowania nader często zapomina się bowiem o dwóch fundamentalnych warunkach, które muszą być spełnione, aby krytyka mogła istnieć i spełniać swoje zadania. Pierwszym warunkiem jest **obecność przedmiotu krytyki**, a więc w tym wypadku dzieła literackiego, filmu, obrazu, spektaklu teatralnego. Drugim warunkiem jest **społeczne zapotrzebowanie na krytykę artystyczną i możliwości jej ujawniania w dostępnych środkach informacji**, w tym wypadku na łamach łódzkiej prasy, radiu i TV. Dyskusja między A. Hámplem a B. Maciejewskim zaistniała w wyniku spotkania zainicjowanego przez Wydział Propagandy i Agitacji KŁ PZPR, zainteresowany problemami i poziomem krytyki artystycznej w Łodzi. Jak z tego wynika, warunek drugi został spełniony, świeci zielone światło dla krytyki artystycznej, istnieje na nią zapotrzebowanie społeczne, środowiska twórcze zainteresowane są w jej rozwoju, a łamy prasy dla krytyki z prawdziwego zdarzenia — otwarte. Należy więc zastanowić się, czy został także spełniony warunek pierwszy. A więc czy istnieją przedmioty krytyki i w jakim procencie zasługują one na to, aby stać się obiektami krytyki konstruktywnej?

Te pytania nie są pozbawione sensu, bowiem mówiąc o krytyce artystycznej, nie mam na myśli procederu wystawiania laurek, głaskania po głowie, cmokania z zachwytu i innych takich towarzysko-koteryjnych czynności, a rzetelną analizę tworów artystycznych, opartą na równie rzetelnej wiedzy, obiektywną, nie programowaną żadnymi mniej lub bardziej personalnymi względami i układami dyskusję. A więc nic dziwnego, że pytam, czy powstałe na naszym podwórku utwory artystyczne mogą stać się naprawdę obiektami twórczej krytyki, a nie tylko przedmiotem recenzji w gazecie codziennej. Przyznam — pytanie ryzykowne. W każdym razie dla mnie. Są wszak w Łodzi liczne środowiska twórcze, określane mianami prężnych, znaczące na mapie artystycznej kraju. Lecz jakie kryteria pozwalają na nazywanie ich prężnymi i znaczącymi? Czy decyduje o tym liczba członków? Może ilość powstałych dzieł? Może sprawozdania z ilości wystaw? spektakli? odczytów? wydanych tomów? A może o prężności niektórych środowisk świadczą sumy, jakimi te środowiska obracają? Nie wykluczone, że mają tu wpływy również zastałe mity o niegdysiejszej sławie do których tak przecież jesteśmy przywiązani. Nie wiem. Śmiem natomiast twierdzić, że na pewno o owej prężności i znaczeniu nie decydują tylko i wyłącznie wartości ideowe i artystyczne powstałych w tych środowiskach dzieł.

Wiadomo przecież, że z teatrem w Łodzi jest źle i to od lat. Wiadomo, że dobre wystawy plastyczne w Łodzi są rzadkością, wiadomo przecież, że film... że spektakle telewizyjne... że proza... że poezja... Wiadomo! A więc znowu muszę zadać pytanie: co może być obiektem rzetelnej, twórczej krytyki, skoro to, co powstaje jest zaledwie na granicy przeciętności i kwalifikuje się tylko do recenzji, do odnotowania jako fakty. Skoro powstają dzieła uładzone, grzeczne, operujące problemami dawno rozwiązanymi wedle wszelkich schematów prawomyślności ideowej i poprawności artystycznej? Jak może krytyk wieść dyskurs z twórcą na płaszczyźnie ideowej, skoro ten twórca jest w swym dziele ideowo ubrany. A skoro twórca, miast ideowego problemu, zamiast rzeczywistego konfliktu podsuwa krytykowi kaszkę mannę, ten może zrobić tylko jedno: zastanowić się nad **formą** — a więc czy nie za rzadka, czy też nie za gęsta (jak na kaszkę mannę oczywiście). Nikt bowiem nie może żądać od krytyka, aby stwarzał sytuacje pozorne, żeby wkładał w usta twórcy słowa, których ten nie wypowiedział, i nie zamierzał wypowiedzieć. Bo jeśli nawet takie żądania zostaną wysunięte — artyści często mają pretensje, że analiza ich dzieł jest nie dość „głęboka", a interpretacja nie dość „wnikliwa" — żaden krytyk, jeśli nim jest naprawdę, nie zgodzi się na nie. Szkodliwość społeczna takich procederów jest bowiem ogromna. Wielokrotnie wszak byliśmy świadkami dorabiania ideologii (czy filozofii — jak kto woli) do dzieł ideowo obojętnych, intelektualnie jałowych. Czy więc tak bardzo naprawdę winna jest krytyka? A może ktoś uważa, że przedmiotem krytyki ma być nieustanne zastanawianie się nad żywotnością operetki i w czym jest ona lepsza a w czym gorsza od „Hamleta"? Jeśli taka opinia jest powszechna, to w ogóle nie ma o czym gadać.

Jest jeszcze sprawa odbioru rzetelnej krytyki. Trudna sprawa, bo też dziwne panują u nas obyczaje. Jeżeli krytyk zajmie stanowisko odmienne od proponowanego przez pisarza X w jego książce, czy malarza Y w jego obrazie i na dodatek stara się w sposób zdecydowany swoją niezgodę na proponowane rozwiązania, czy przemyślenia udowodnić, automatycznie pisarz X i malarz Y, a także wszystkie inne osoby towarzyszące uważają, że ów krytyk ma jakoweś pretensje do jednego lub drugiego. Że ma ukryte cele, że chce ich „załatwić" w imię czegoś lub kogoś. Innymi słowy, że nie zgadzając się z książką X—a lub obrazem Y—a daje do zrozumienia, że i jeden i drugi to typy spod ciemnej gwiazdy. Nie ma u nas, niestety, kultury rzeczowej dyskusji. Z zazdrością oglądam więc nieraz telewizyjne programy, w których toczy się rzetelna, fachowa dyskusja o sprawach produkcji, nowoczesności w przemyśle, samorządów robotniczych i innych takich rzeczach, gdzie ludzie mówią sobie słowa prawdy, ale prawdy konstruktywnej, słowa prowadzące do czegoś, wypowiadane z pełną odpowiedzialnością i zaangażowaniem. I myślę sobie wtedy — gdybyż tak chociaż raz ktoś pogadał o sztuce, o kulturze.

ANDRZEJ GRUN

FILM

PUŁAPKI GRY POZORÓW

W okresie burzliwych lat angielskiej „nowej fali" jednym z głośniejszych jej filmów było „Miejsce na górze". Po latach w filmie „PORACHUNKI" spotykamy człowieka, którego życiorys jest właściwie historią bohatera pierwszego filmu. Tamten zdobywał „miejsce na górze", teraz jego kolega walczy o utrzymanie się na nim. Ten sam życiorys, proletariackie pochodzenie, nienawiść wobec bogatych i marzenia o tym, by wśród nich się znaleźć — cena nieważna. Własna energia, przedsiębiorczość, ambicje w parze z bogatym ożenkiem prowadzą obu do celu. W „Porachunkach" Jacka Golda życiorys opowiada się jednak dalej, nie wystarczy bowiem „na górę" się dostać, trzeba się tam utrzymać. Bezwzględność walki o zachowanie tego miejsca jest jednym z tematów filmu Golda, piszę — jednym, gdyż na nim autorzy filmu nie poprzestają.

Jak przystało na dobrze skonstruowaną opowieść, główny jej bohater jest nosicielem wielu problemów. W przypadku „Porachunków" irlandzkie pochodzenie Michaela Marlera wprowadza do filmu najbardziej dziś nabrzmiałe zagadnienie wewnętrznej polityki Wielkiej Brytanii. W pierwszej chwili zdumiewa nas nawet nieco liberalizm angielskiej cenzury, nie kwestionującej praw do publicznego prezentowania niezbyt pochlebnych dla państwowej polityki problemów. Głębsza refleksja, która musi z całości filmu wyniknąć, rozprasza jednakowoż to zdziwienie. W istocie swojej film ten bowiem jest mało groźny. Nader zręcznie skonstruowano dzieje i postać irlandzkiego „buntownika", w takiej wersji nie jest on argumentem.

Anglicy nie kochają Irlandczyków i vice versa, o tym wiadomo od wieków, można zatem pozwolić sobie na wzmiankę o tym, iż angielska policja zatuszuje sprawę pobicia Irlandczyka tym bardziej, że dokonali tego angielscy chuligani, bijący również angielskich obywateli. Rodzice naszego bohatera są biedni, ale w takich samych nędznych dzielnicach żyją i Anglicy. Gdy nasz bohater znajdzie się „na górze" wśród Anglików, będzie taki sam jak oni, temperament go tylko nieco różnić będzie. Jego vendettę, mszczącą śmierć ojca, nie tłumaczą twórcy filmu wyłącznie niemocą wobec władz państwa brytyjskiego; rodzi się pytanie, czy taka zemsta, dokonana i z miłości, i z nienawiści, nie była najwygodniejsza dla tego, który swego „miejsca na górze" nie chciał stracić.

Wydaje się, że wbrew pozorom uczyniono w tym filmie wszystko, by jego akcenty polityczne straciły swą wagę. Dotyczy to przede wszystkim rysunku głównego bohatera, nie jest on przecież nosicielem problemu krzywdy. Jest w końcu tylko łajdakiem, jego łajdactwo nie jest jednakże atutem przeciwko irlandzkiej sprawie, jest bowiem wspólne dla wszystkich tych tam „na górze". I w końcu główny walor filmu sprowadza się do faktu znakomitego sportretowania pewnego sposobu życia pewnej moralności — typowej dla klasy i środowiska, nie dla narodu.

Postaci Michaela Marlera warto się jednak przyjrzeć bliżej, jest to bowiem postać, która na ekranach pojawia się coraz częściej. Kiedyś kojarzyliśmy ją z jednym aktorem, był nim Jean Paul Belmondo, specjalizujący się w rolach sympatycznych, często uroczych łajdaków, ba, nawet zbrodniarzy. Także w polskim kinie mieliśmy już próbkę takiej postaci, jeśli przypomnieć bohatera „Pościgu" Jana Łomnickiego. Marler w znakomitej interpretacji Nicola Williamsona, to postać, w której dobro miesza się ze złem, osobisty urok z odpychającymi cechami charakteru, bohater wzruszający i budzący wstręt. Ambiwalencja moralna wydaje się pewnikiem, a jednocześnie wszystko w filmie służy budzeniu naszej sympatii dla bohatera. Wspomniany Belmondo był zawsze w swych filmach człowiekiem z marginesu społecznego, co więcej, by moralności stało się zadość, najczęściej ginął w swych porachunkach ze światem. Williamson jednak nie przegrywa, jego bohater, dokonawszy porachunków, zostaje na placu boju jako zwycięzca. Kino przestaje być dostarczycielem opowieści umoralniających; czy proponuje nową moralność, czy po prostu zbliża się ku prawdzie życia? Nie mogę nie wyznać, iż ten rodzaj kina napawa jakimś niepokojem. Tym bardziej jest on uzasadniony, że „Porachunki" są filmem z tej serii, która najlepsze wzorce kina atrakcyjnego dla szerokiej publiczności łączy z pewną ważką społeczną, czy moralną problematyką. Przypomnieć tu warto ostatnią „czarną serię" amerykańską ze „Zbiegiem z Alcatraz" na czele, z tą różnicą, że w „Porachunkach" mamy do czynienia ze zbrodnią nie ukaraną, z bohaterem mniej jednoznacznym. Nie wiem, czy odporność psychiczna i wrażliwość moralna wszystkich widzów otwiera temu typowi filmu szeroką drogę na ekrany.

P.S. Wieść niesie, że reżyser Stanisław Różewicz rozpoczyna realizację filmu „Drzwi w murze" według scenariusza napisanego wspólnie z bratem Tadeuszem Różewiczem. Wiadomość tę przekazuję P.T. Czytelnikom nie bez kozery. Pomieszanie imion obu braci w mojej recenzji z filmu „Szklana kula" w reżyserii Stanisława Różewicza, to nie chochlik drukarski, a raczej napór podświadomych skojarzeń.

EWA NURCZYŃSKA

TELEWIZJA

WIELKI NAPAD

Po dwóch odcinkach napisałem dobrze o tym angielskim serialu kryminalnym. Była to ocena na wyrost, ale na szczęście mająca pokrycie w późniejszych faktach. Nie muszę więc niczego odwoływać i rumienić się za pochopne sądy. Powiem więcej, „WIELKI NAPAD" był przykładem znakomitej roboty w prezentowanym gatunku. I to pod każdym względem. Nawet aktorskim, co w naszych rodzimych kryminałach jest rzadkim wyjątkiem. Peter Vaughan stworzył rolę prawdziwą i jego inspektor Kredek może być śmiało zaliczany do osiągnięć aktorskich.

Zakończony mini-serial „JAK BŁYSKAWICA" jest właśnie przykładem odwrotnym. Rozumiem, że aktorzy grają w kryminałach i różnych ramotach dla pieniędzy, nie łączą z tym swoich największych ambicji. Ale w naszych filmach grają jak za karę, jakby wbrew sobie samym. Może z łaski? Sam nie wiem, ale powinni to wiedzieć ci, którzy akceptują widowisko czy film do publicznych pokazów. Brak kryteriów ocen jest w tych wypadkach szczególnie niesympatyczną sprawą, gdyż mamy dosyć narzekań, które nic nie zmieniają sytuacji.

Właśnie te dwa przykłady. Nasz Teatr Sensacji pokazał widowisko również angielskiego autora, Francisa Durbridge'a, ale to chyba zbieżność przypadkowa. Tytuł jak na urągowisko. Były tu bowiem tak potworne dłużyzny, że tylko nadzwyczajna cierpliwość (lub obowiązek?) mogły człowieka utrzymać przy telewizorze.

Jest to również zastanawiający przykład, jak myślą ludzie realizujący widowisko sensacyjne, a szczególnie takie, którego akcja toczy się poza granicami naszego kraju. Jak myślą i co czynią? Czynią wiele, za wiele hałasu o nic. Wiadomo, że jak jest trup, to trzeba ściągnąć pogotowie. Nie zdarzyło mi się, by w którymkolwiek kryminale zaoszczędzono nam takiej typowej sekwencji — waty. Również budowanie makiet, domy, ulice — przebierańce, samochody — krążowniki — po co to wszystko? Powie ktoś: żeby stworzyć klimat. Owszem, rzecz potrzebna i ważna. Ale ten klimat nawet w swej umowności jest tak bardzo tandetny i niewiarygodny, że staje się antyklimatem, wzbudza tylko uśmiech politowania.

Zresztą nie to jest ważne w kryminale, lecz intryga, rozwiązanie zagadki, napięcie psychiczne — wszystko to, co najlepiej wypada rozgrywane w scenerii kameralnej. Więc nie samochodowe pogonie, walka na noże, lecz walka umysłowości zbrodniarza i obrońcy prawa. To jest chyba najbardziej fascynujące. Ale wiadomo, nie łatwe do odtworzenia. Łatwiej statystów ubrać w fundury angielskich policjantów, młode dziewczyny porozbierać jak do rosołu, albo jeszcze coś innego wymyślić, c o p o w i n n o się spodobać. Tylko, że się nie podoba, moi panowie!

Żeby być w miarę sprawiedliwym, to trzeba przyznać, że obejrzeliśmy „WIELKI NAPAD" dzięki telewizji. To przecież, na dobrą sprawę, nie była tylko sensacja, niedzielna rozrywka, ale również pozycja o pewnej wymowie społecznej. Mamy tu przecież, jak na dłoni, pokazaną korupcję angielskiego systemu, walkę, również i w sensie kryminalnym, kapitalistycznego bussinesu, jego mafijność i bezwzględność. Film kończy się optymistycznie, bo zwycięża sprawiedliwość, ale... Trudno go tylko odczytać jako pochwałę sprawności Scotland Yardu.

KLUB „KONTYNENTY"

Redaktor R. Badowski umie myśleć i widać te przemyślenia i staranność przygotowań w każdym programie. Nawet z okazji Dnia Zmarłych potrafił przez dobór odpowiednich rozmówców powiedzieć nam coś więcej, niż wynikałoby to z odświętno-nastrojowego charakteru spotkania. Były wspomnienia, owszem, smutne, jak czasy, których dotyczyły. Ale nad wszystkim dominował optymizm. Mówiono bardziej o bohaterach, a nie tylko zmarłych. I to bardzo dobrze, jak lepszy jest hołd i pamięć czynów. Z dwóch pułkowników, znanego erudyty i pisarza Przymanowskiego i lotnika Witorzencia, bardziej podobał mi się ten ostatni. Mówił trochę wojskowym żargonem, ale całkowicie zdobył moją sympatię, kiedy wspomniał o swoim spotkaniu z b. generałem hitlerowskiego lotnictwa. „Ile pan zestrzelił niemieckich samolotów?" Odpowiedź: ile bym ich nie zestrzelił, to i tak za mało. Jakże to polska, mądra i dowcipna zarazem odpowiedź. Dziękujemy.

JESZCZE O ŁÓDZKIM MAGAZYNIE KULTURALNYM

Jest to pozycja godna uwagi z wielu względów. Jest przecież skrótową, ze zrozumiałych względów, prezentacją życia kulturalnego naszego miasta. Redaktor H. Rumowskiej należy tylko życzyć wytrwałości w pokazywaniu, sygnalizowaniu, prezentacji, czy jak to jeszcze nazwać, tego wszystkiego, co kryje się pod słowem „kultura". A uczestnikom kolejnych dyskusji, żeby wymierzali sądy sprawiedliwe i własne.

Wydaje mi się, że sprawą dość ważną jest proporcja między ilością materiału filmowego, a czasem przeznaczonym na dyskusję. Myślę, że lepiej byłoby ograniczyć ilość pozycji, a bardziej wszechstronnie je omówić, żeby uczestnicy mogli wypowiedzieć pełniej swoje sądy, a nie tylko zająć stanowiska wobec tematu. W ostatnim magazynie zabrakło np. czasu na dyskusję o wzruszającym filmie o zakładowej orkiestrze. To przecież mógłby być punkt wyjścia do szerszej dyskusji, np. o ruchu amatorskim w ogóle, z którym nie jest najlepiej.

JAROSŁAW TARNO

Niedawno Eryk Lipiński przypomniał w telewizji parę rysunków Kazimierza Grusa. Dla większości młodych słuchaczy nazwisko to jest pustym dźwiękiem i jeśli przypominam w tym miejscu encyklopedyczną notkę, to głównie dlatego, aby uprzytomnić czytelnikowi, że Grus zasługuje na pamięć, że jest na trwałe wpisany do dorobku polskiej satyry i karykatury.

PRZYPOMNIENIE GRUSA

Nie tworzył dzieł monumentalnych, które trafiają do sal muzeów, tworzył ową ulotną materię „gazetową" — dziś właściwie nie osiągalną w oryginale. Pozostały po nim roczniki pism — rysunki Kazimierza Grusa stawały się niepotrzebne w momencie utrwalenia ich na drukarskiej kliszy.

Jak to dobrze jednak, że wśród nas są kolekcjonerzy, miłośnicy sztuki, zbieracze wszelkiego „śmiecia" — jak mówią profani. Pan **Henryk Kosiński** poznał Kazimierza Grusa przypadkowo w pierwszych powojennych latach, kiedy „Mały Kazio" był niezwykle w Łodzi popularny. Z tej znajomości zrodziła się jedyna chyba — tak bogata — kolekcja rysunków i grafik Grusa — i tych publikowanych i tych przez redakcje odrzuconych.

Kazimierz Grus nie przywiązywał znaczenia do dóbr materialnych. Chadzał całe lata w jednym garniturku i jednym paletku, w jego łódzkim mieszkaniu (Piotrkowska 26, lewa oficyna, pierwsze wejście) nie pozostało po nim wiele. Nie wiadomo, co się stało z jego rysunkami — może ich zresztą nawet w domu nie trzymał. To, co ocalało, zawdzięczamy zbierackiej pasji Henryka Kosińskiego.

A nie miał Grus w Łodzi łatwego życia. Jan-Huszcza tak wspomina tę wyjątkowo niekonwencjonalną postać:

Był niewątpliwie wyjątkowo rasowym przedstawicielem tego, co się potocznie określa słowami „cyganeria artystyczna", należał w różnych okresach swojego życia do rozmaitych środowisk twórczych, rysował m. in. w petersburskim „Nowym Satirikonie" (redagowanym przez Awerczenkę), współpracował z „Simplicissimusem", współredagował ze Stanisławem Wasylewskim lwowskiego „Szczutka", rozwijał ożywioną działalność w okresie plebiscytu na Śląsku, robiąc rysunki dla „Kocyndra" i plakaty agitacyjne. Znakomity karykaturzysta zwierząt, ilustrował książeczki dla dzieci, pisywał felietony, a jednocześnie współpracował z tyloma pismami polskimi, iż jego ewentualny biograf — jeśli taki kiedyś się znajdzie — stanie przed niezwykłymi trudnościami, związanymi z wytropieniem wszystkich przejawów artystycznej działalności Kazimierza Grusa, zwanego przez znajomych, bez względu na różnicę wieku, Kaziem. Bowiem był człowiekiem ufnym i dobrodusznym, niezwykle łatwo wszystkich dopuszczał do bliskiej zażyłości.

> **GRUS** Kazimierz, ur. 23. VIII. 1886 roku w Muszynie k. Inowrocławia, zm. 30. VI. 1955 roku w Łodzi, grafik, rysownik; studiował w Berlinie i Paryżu; debiutował w rosyjskich pismach „Satirikon" i „Budilnik", po powrocie do Polski (1918) współpracował z lwowskim „Szczutkiem" (założonym z jego inicjatywy), ze śląskim „Kocyndrem", z „Muchą", „Tęczą", „Cyrulikiem Warszawskim" i „Szpilkami"; zajmował się głównie karykaturą polityczną; celował też w karykaturach zwierząt; ilustrował książki dla dzieci, był autorem „Kajecików małego Kazia".
>
> Wielka Encyklopedia Powszechna PWN tom. 4 str. 453

Natura obdarzyła go hojnie nie tylko talentem, ale także krzepą i zdrowiem. Był niestrudzonym konsumentem wyrobów tytoniowych (palił zarówno fajkę, jak i papierosy) i spirytusowych, znajdując kompanów w rozmaitych sferach i środowiskach, z czego niekiedy nawet wynikały awantury.

Można go nazwać raczej pogodnym humorystą niż satyrykiem. Nie stronił od satyrycznych wypowiedzi rysunkowych, ale i w nich zamykał duży ładunek humoru. Człowiek pogodny i rubaszny — obcy złośliwości i hipochondrii — chętnie i wiele opowiadał, koloryzując i uciekając się do przesady, aby uzyskać spiętrzenie efektów.

Gdzie się zjawił Kazio, tam natychmiast słyszało się jego charakterystyczne „che, che, che"...

W Łodzi niezbyt mu się wiodło. Nie miał za grosz sprytu i zmysłu komercyjnego. Mieszkał z żoną w klitce na piętrze przy ulicy Piotrkowskiej 26. Kiedy otrzymał nagrodę państwową... trzeciego stopnia, to część pieniędzy wydał na konserwy, aby mieć co jeść na wypadek finansowej posuchy. Niestety, jakość naszych konserw nie stała wówczas na odpowiednim poziomie i wkrótce zapasy zaczęły się psuć. Kazio co pewien czas ostrożnie wynosił na podwórko podejrzane puszki. Rzeczywiście, nie trzeba było długo czekać na wybuchy. Z tego powodu jakiś nadgorliwy sąsiad omal nie oskarżył go o przechowywanie materiałów wybuchowych!

Nieraz — nieco zatrwożony lekkomyślnym traktowaniem swojego zdrowia przez niemłodego przecież artystę — karcąco zauważałem:

— Kaziu, kiedy ty się wreszcie ustatkujesz?

— Nie opłaca się... che, che, che... I tak już jednym jajej zwisam nad grobem... che, che, che...

Ani wydawnictwa, ani prasa — zwłaszcza łódzka — nie umiały na ogół docenić i we właściwy sposób wykorzystać bujnego, aż do końca nie tkniętego uwiądem talentu Kazimierza Grusa. „Głos Robotniczy" dopiero po śmierci artysty zamieścił reprodukcję jego rysunku, otrzymaną wraz ze wspomnieniem pośmiertnym z... warszawskiej Agencji Prasowej. A przecież właśnie Grus — autor zabawnych i komunikatywnych rysunków — mógłby stać się ulubieńcem łódzkich robotników...

Ale do Łodzi przyjechał Kazimierz Grus z mocno już utrwaloną legendą „cygana", obieżyświata i kawalarza. **Jerzy Zaruba** pisze w swoich pamiętnikach, że już od dziecka trzymały się go piekielne figle. Niesforny Kazio posuwał swoje kawały aż do wlewania atramentu do kropielnicy kościelnej i spinania rozmodlonych dewotek agrafkami. Był też inicjatorem t.zw. „kakafonii roratowej". Kiedy ksiądz od ołtarza intonował np. „Serdeczna Matko", Grus stojąc na tyłach kościoła wkrzykiwał do uszu głuchawych dziadów i bab inną pieśń nabożną np. „U drzwi Twoich". Ci gorliwie podchwytywali melodię i powstawał niemożliwy do uciszenia rozgardiasz. Połowa kościoła śpiewała jedną, druga całkiem inną pieśń nabożną.

„Piekielny Kazio mimo to utrzymywał jak najlepsze stosunki towarzyskie z niektórymi księżmi. Zwłaszcza na prowincji. Był on wielkim amatorem rybołówstwa i często miesiącami przesiadywał w okolicach, gdzie rybne stawy z jednej strony i dobrze zaopatrzona piwniczka proboszcza z drugiej zapewniały mu przyjemne wakacje. Dzień z wędką nad cichą wodą, wieczorem wesoła biesiada na plebanii, obficie zakropiona nalewkami! Którejś ulewnej nocy z ganku pewnego probostwa zeszła chwiejnym krokiem trzyosobowa procesja z baldachimem. Grus nie miał parasola i gospodarz ksiądz zarządził, żeby odprowadzono go do domu. Zamiast parasola kościelny z organistą nieśli baldachim z kościoła, pod którym rozbawiony Kazio wyśpiewywał wesołe piosenki. Ciemna noc i ulewa była przyczyną, że zataczająca się procesja znalazła się wkrótce w rowie. Najgorzej na tym wyszedł baldachim.

W czasie jednych wakacji Grus zamieszkał w małym miasteczku N. w okolicy rybnych jezior, z których tak słynie Poznańskie. Szeroko rozgałęzione kontakty towarzyskie były powodem, że wracał on często mocno „zawiany". Kiedyś, zbłądziwszy, szarpał się z jakimiś drzwiami, które wziął za swoje, wreszcie nie mogąc ich otworzyć kluczem, włamał się siłą.

Po omacku położył się na czymś, co przypominało łóżko, i zasnął snem sprawiedliwego. Okazało się, że wtargnął do zakładu pogrzebowego „Przyszłość" i położył się w jednej ze stojących na wystawie trumien. Wystawa ta przedstawiała widok nie lada... Nazajutrz miasteczko miało wielką sensację. Opowiadano najfantastyczniejsze plotki o nieboszczyku, który najpierw pobił właściciela składu trumien, a potem z nim poszedł na wódkę.

Poza bogactwem iście szatańskich pomysłów odznaczał się Grus ciętym językiem i zdolnością do błyskawicznych słownych „ripost".

Kiedy usłyszał od pewnej damulki, do której się z lekka „przystawiał", że nie ma u niej wiele szans, gdyż nie lubi ona łysych, powiedział tajemniczo:

— Łaskawa pani, ja mam włosy, ale nie dla wszystkich.

Obdarzony niepospolitą siłą fizyczną i dość awanturniczym usposobieniem był on powodem częstych scysji i wielu dość kłopotliwych sytuacji. Pamiętam — pisze Zaruba — jak w czasie pełnienia przeze mnie obowiązków gospodarza Klubu Artystycznego w „Polonii" zjawienie się Grusa prawie zawsze zwiastowało jakąś hecę z posmakiem awanturki. Kiedyś posprzeczał się on na przykład ze słynnym pułkownikiem Wieniawą, któremu też nie brak było fantazji i temperamentu. Od słowa do słowa i burda gotowa. Kiedy krewcy dysputanci przeszli od słów do bardziej konkretnych argumentów i kiedy po wielu wysiłkach udało mi się przy pomocy paru kolegów rozdzielić skaczących sobie do oczu zawadiaków, zadyszany Wieniawa powiedział, obciągając swój szwoleżerski mundur:

— My się jeszcze zobaczymy i pogadamy ze sobą.

Kazio, patrząc na akselbanty, szlify i ordery „Apolla Belwederskiego", nie bez sarkazmu odpowiedział:

— Owszem, pogadamy ze sobą, ale jak obydwaj b ę d z i e m y w g a c i a c h".

Miał niewyparzoną gębę i niekonwencjonalny sposób bycia. Nie wiodło mu się więc najlepiej. Czas, który utrwalił jego rysunki na łamach dziesiątków pism, przysypał jednocześnie jego postać patyną zapomnienia. W Łodzi dobiegając siedemdziesiątki — zakończył swoje burzliwe i kolorowe życie. Był chyba ostatnim przedstawicielem cyganerii artystycznej w tym klasycznym dziewiętnastowiecznym stylu.

JERZY WILMAŃSKI

Polityka na świecie

W SEULU – WALKA O WŁADZĘ

„ASSOCIATED PRESS" — N. JORK

Wprowadzenie w dniu 17 października br. stanu wyjątkowego w Południowej Korei było dla wielu polityków zgoła nieoczekiwanym wydarzeniem. Jednakże bardzo uważni obserwatorzy sytuacji politycznej w Płd. Korei utrzymują, że na taki krok byli już od dawna przygotowani. Po „uśmierzeniu" nie wielkiej, ale hałaśliwej opozycji, prezydent Pak Dżon Chi, jak przypuszczają obserwatorzy polityczni, spróbuje jeszcze raz zmienić konstytucję, żeby móc pozostać u steru władzy również po 1975 roku, gdy upłynie trzecia z kolei, czteroletnia kadencja jego prezydenckich pełnomocnictw.

Po uzyskaniu w ubiegłorocznych wyborach prezydenckich zaledwie nieznacznej przewagi głosów, zaczął on rozszerzać zakres swojej władzy, umacniając jednocześnie południowokoreańskie Centralne Biuro Wywiadowcze. Szefem tajnej służby jest niejaki Li Chu Rak, który przez długi czas był generalnym sekretarzem samego Pak Dżon Chi.

Środki masowej informacji podlegają w Płd. Korei bardzo ostrej cenzurze. Praktycznie rzecz biorąc nie wolno im komentować politycznej przyszłości Pak Dżon Chi. Jak wyraził się pewien seulski redaktor, „1975 rok jest zakazanym tematem we wszystkich debatach"...

Jeśliby Pak Dżon Chi rzeczywiście niepokoiły tylko te problemy, które wymienił on 17 października, to jest zmieniającą się sytuację międzynarodową i rozmowy między Północą i Południem, zmierzające do zjednoczenia Korei, to nie zależałoby mu na dodatkowych pełnomocnictwach. Przecież ma już wystarczająco szerokie uprawnienia w ramach stanu wyjątkowego, który wprowadził w październiku ubiegłego roku. Może dziś zabraniać zebrań, cenzurować prasę w kwestiach związanych z bezpieczeństwem publicznym, sprawować całkowitą kontrolę nad ekonomiką kraju, regulować konflikty w zakresie pracy i wynagrodzeń oraz wnosić poprawki do wydatków na cele bezpieczeństwa kraju.

Ponieważ Partia Demokratyczna Pak Dżon Chi ma większość w Zgromadzeniu Narodowym, zaś partię opozycyjną rozdzierają walki frakcyjne, prezydent bez przeszkód kontroluje parlament, a jego propozycje ustawodawcze rzadko natrafiają na sprzeciw. Jednakże nie ma on dwóch trzecich głosów, potrzebnych mu do wniesienia poprawek do konstytucji, by móc wysunąć swoją kandydaturę na jeszcze jedną kadencję prezydencką. Więc Pak Dżon Chi po prostu rozwiązał Zgromadzenie Narodowe. Prasa, studenci i inni krytycy rządu przycichli, obawiając się nowych represji na podstawie dopiero co wprowadzonego stanu wyjątkowego.

Głównym elementem politycznej atmosfery na Półwyspie Koreańskim są obecnie rozmowy — podjęte po raz pierwszy od zakończenia koreańskiej wojny Północy z Południem — podczas których obie strony zobowiązały się wstrzymać od jakichkolwiek prowokacji wojennych.

Dlaczego akurat w tej sytuacji Pak Dżon Chi wprowadził stan wyjątkowy? Dobrze poinformowane koła południowokoreańskie tłumaczą ten krok prezydenta w następujący sposób: Pak Dżon Chi skorzystał z tego, że opozycyjna tzw. Nowa Partia Demokratyczna, po kilkuletniej wewnętrznej walce frakcyjnej rozpadła się wreszcie i zwalił na nią całą odpowiedzialność za inercję polityczną i chaos w kraju. Jednocześnie złożył on oświadczenie, że partiom politycznym pochłoniętym waśniami wewnętrznymi nie wolno powierzać problemu rozmów z Północą.

W Południowej Korei władza nigdy nie przechodziła bezkonfliktowo z rąk do rąk, z jednej partii do drugiej. Wydaje się, że i tym razem, w 1975 roku, nie obejdzie się tutaj bez wstrząsów.

KTO ZASTĄPI MAO?

„RUDE PRAVO" — PRAGA

Wywiad Czou En-laia, udzielony grupie amerykańskich dziennikarzy odsłania prawdziwą treść polityki maoistowskiej.

Czou En-lai przyznał, że kwestia, kto będzie następcą Mao Tse-tunga nie została rozstrzygnięta. Jednakże nie powiedział on wszystkiego. W świetle informacji, napływających z Pekinu, staje się jasne, iż toczy się tam ostra walka między co najmniej dwiema grupami, przy czym każda ma nadzieję, że to właśnie jej przedstawiciel zastąpi Mao po jego śmierci.

Ale na spotkaniu mówiono nie tylko o tym. Potwierdziło się na nim, że zmianę polityki maoistowskiej wobec Stanów Zjednoczonych przygotowywano przez długi czas, że podstawą polityki pekińskiej pozostaje dążenie maoistów do hegemonii i że jednym z „konstruktorów" dzisiejszego kursu jest Mao Tse-tung.

Sformułowania, jakich użył Czou En-lai podczas spotkania z amerykańskimi dziennikarzami wskazują, że w czasie wizyty Nixona w Pekinie prowadzono rozmowy na temat podziału strefy wpływów i że maoiści przyjęli amerykańskie żądania, wymierzone przeciwko interesom narodów Indochin.

Wywiad ten nie jest zresztą jedynym dowodem reakcyjnej treści polityki maoizmu. W czasie rozmów między ministrem spraw zagranicznych NRF W. Scheelem i Czou En-laiem wyszło na jaw, że chiński premier powiedział, iż dla obrony Europy „także w przyszłości, podstawowe znaczenie ma silny sojusz zachodni"... Powiedział więc dokładnie to, do czego nawołują najbardziej prawicowi politycy w USA i zachodniej Europie, usiłując storpedować rozszerzające się i wielce obiecujące perspektywy bezpieczeństwa europejskiego.

ANGIELSKA WOJNA

„SUNDAY TIMES" — LONDYN

Wojna, którą prowadzą brytyjskie siły zbrojne przeciwko patriotom arabskim w prowincji Dofar w Omanie, nad brzegami Zatoki Perskiej, to prawdziwa angielska wojna, która by się zakończyła w przeciągu kilku dni, gdyby nie brytyjscy lotnicy i „doradcy".

Oddziały, dowodzone przez Anglików już osiem lat prowadzą niesławną wojnę, „broniąc sułtanatu Omanu przed agresją komunistyczną" i walcząc „o pokój i stabilizację" w rejonie Zatoki Perskiej. Jak wiadomo, w strefie tej znajdują się bogate złoża ropy naftowej, zaspokajające w 60 procentach potrzeby zachodniej Europy.

„Jest to w całej rozciągłości angielska wojna, do Anglików należy w niej wszystko, włącznie ze specjalnym obuwiem używanym na pustyni" — powiedział w Salala jeden z „zakontraktowanych" oficerów. I ma rację: trudno by tego wszystkiego nie zauważyć — „Landrovery", cmentarz wojskowy, a na nim świeży grób z płytą z betonu, usłany sztucznym kwieciem, z napisem: Kapitan R. K. Johnson, urodzony w 1947 roku, zmarł w 1972 roku"...

Anglia nie zawarła z Omanem porozumienia o wzajemnym bezpieczeństwie. Anglicy znajdują się tutaj na mocy „kontraktów", zawartych albo bezpośrednio, albo za pośrednictwem ministerstwa obrony w Londynie. Ponieważ żaden z licznych oficerów omańskich nie ma stopnia powyżej kapitana, sułtan jest całkowicie uzależniony od Anglików. Wszyscy jego szeregowi najemnicy i wyżsi oficerowie zostali „zwerbowani" w Anglii. Wszędzie, w wojskach lądowych, powietrznych i niewielkiej flocie morskiej dowodzą Anglicy, a ministrem obrony w rządzie sułtana jest również Anglik — C. Oldman.

Ruch powstańczy, z którym wojują Brytyjczycy, rozpoczął się w 1964 roku, gdy powstał Front Wyzwolenia Dofaru (obecnie nosi nazwę Narodowego Frontu Wyzwolenia Dofaru i Zatoki Perskiej), co, w znacznym stopniu, było odpowiedzią za średniowieczne metody rządów sułtana Saida ben Taimura. W 1970 roku, obecny sułtan Kabus, absolwent brytyjskiej Królewskiej Akademii Wojskowej, zdetronizował swego ojca Saida w wyniku przewrotu, który najprawdopodobniej zorganizowali oficerowie brytyjscy.

Niemniej wojna toczy się dalej i na początku tego roku 98 procent ludności Dofaru znajduje się pod kontrolą Narodowego Frontu Wyzwolenia. Pułkownik M. Harvey, dowódca wojsk w Dofarze utrzymuje, iż w toku ostatnich operacji wojskowych zginęło 400 powstańców, 500 dostało się do niewoli i że liczba żołnierzy przeciwnika wynosi obecnie około 800 ludzi.

Jednakże powstańcy odnieśli sukces, izolując Dofar od równiny. Handel uległ pewnemu zahamowaniu, bieżące wydatki rządu na obronę, według oficjalnych danych, wynoszą 13,2 miliona funtów szterlingów. Z bardziej realnych ocen wynika jednak, że niemal połowa dochodów ze sprzedaży nafty (52 miliony funtów) idzie na prowadzenie wojny. Wywołuje to rozgoryczenie i niezadowolenie ludności (liczącej około 550 tys.) kraju, w którym, mimo napływu amerykańskich kapitałów, ekonomika rozwija się bardzo powoli.

Pozostaje faktem, że owych 800 ludzi wiąże siły dwóch batalionów piechoty, 20 plutonów bezpieczeństwa, żandarmerię i lotnictwo, do którego wchodzi, łącznie, 21 samolotów i 12 śmigłowców. Nic dziwnego, że brytyjscy oficerowie twierdzą, iż wojna potrwa jednak dłużej...

J. CZECH

Kultura na świecie

„Wędrówki pariaski"

Po południu w dniu 10 września 1838 roku na ulicy du Bac w Paryżu pewien mężczyzna strzelił z pistoletu prosto w pierś przechodzącej kobiety. Flora, bo takie imię miała owa piękność o rysach Hiszpanki, staje się bohaterką dnia. Cały Paryż interesuje się nią i jej powrotem do zdrowia. Niedoszłego mordercę czeka proces, którym wszyscy będą się pasjonowali. Kim była owa Flora? Kim był sprawca? Dlaczego chciał zabić swą żonę, bo jak się okazało był jej mężem. Na razie stwierdźmy tylko, że Flora była późniejszą babką słynnego, jednego z najwybitniejszych malarzy francuskich przełomu XIX i XX wieku — Paula Gauguina.

Aby jednak zrozumieć dlaczego padł strzał na ulicy du Bac musimy się cofnąć w czasie o niemal pół wieku.

W czasach Wielkiej Rewolucji Francuskiej wielu arystokratów uciekło do Hiszpanii. Wraz z nimi znalazła się w Bilbao młodziutka Teresa Laisnay. Nie wiele o niej wiemy. Nie jesteśmy nawet pewni jej prawdziwego imienia i nazwiska. Wiadomo natomiast, że piękna Francuzka żyła w Bilbao z hiszpańskim pułkownikiem dragonów, Kawalerem Orderu Świętego Jakuba. Ów arystokrata był siostrzeńcem arcybiskupa Grenady i członkiem zamożnej, mieszkającej w hiszpańskiej kolonii Peru, starej rodziny aragońskiej. Czy Teresa wzięła kiedyś ślub z hiszpańskim arystokratą, don Mariano de Tristan Moscoso? Ona zawsze twierdziła, że tak. Rodzina arystokraty twierdziła, że nie.

Od 1802 roku Teresa i don Mariano mieszkają w Paryżu. Mają dwoje dzieci. Hiszpan kupuje wspaniałą rezydencję. Rodzina żyje w dostatku. Ale nie trwa to długo. Bowiem w roku 1807 don Mariano umiera. W rok później rząd francuski sekwestruje wszystkie majątki Hiszpanów. Teresa, która nie jest w stanie udowodnić legalnego związku z hiszpańskim arystokratą, zostaje wypędzona z rezydencji. Rodzinę czeka nędza. Z malutką Florą i jej bratem, Teresa wyjeżdża na wieś. Tu umiera chłopczyk. Później, w roku 1818, gdy Flora ma już piętnaście lat, obie wracają do Paryża. Biedują i tu, mieszkają w najnędzniejszej dzielnicy miasta. Matka Flory przez te wszystkie lata nie rezygnuje z walki o odzyskanie majątku. Pisuje do Peru, do rodziny don Mariano. Jednak dwadzieścia jej listów pozostaje bez odpowiedzi.

Flora, aby zarobić na skromną egzystencję, rysuje etykietki do mydła, potem jako robotnica pracuje u grawera-litografa, Andrzeja Franciszka Chazala. Grawer urzeczony pięknością Flory, niezrażony piętnem jej nielegalnego pochodzenia i niestałym charakterem, oświadcza się. Flora zaś, za namową matki, przyjmuje oświadczyny. Później będzie twierdziła, że matka zmusiła ją do małżeństwa. A jest ono, jak się wkrótce okazuje, całkowicie nieudane. Współżycie Flory z Chazalem zamienia się w piekło. Grawer jest przekonany, że żeniąc się z biedaczką i do tego z dziewczyną z nieprawego łoża, wyświadczył jej łaskę. Flora zaś wciąż uważająca się za córkę arystokraty, którego protoplastą — jak to wbijała jej w głowę matka — był sam Montezuma, król Azteków, czuje się upokorzona traktowaniem jej przez męża w roli jedynie gospodyni i matki, zwłaszcza, że chce uchodzić za filozofkę. Między małżonkami dochodzi do sprzeczek, kłótni, bijatyk wreszcie. Trudno dziś dociec z całą pewnością, kto był więcej winien nieśnaskom.

Andrzej Chazal był, jak niektórzy twierdzili, z natury brutalem, grywał w karty. Czy zmuszał Florę, jak to ona później twierdziła, do prostytucji? Nie wiadomo. Faktem jest, że małżeństwo się rozpadło. Dwoje dzieci zostało oddanych na wieś. Z trzecim, mającym się dopiero narodzić, Flora odchodzi od męża. Pracuje najpierw jako kolorystka, potem jako sklepowa u cukiernika, jako pokojówka w Anglii, później jakiś czas przebywa w Szwajcarii. Wyrusza wreszcie do Peru by uzyskać, jej zdaniem, należny spadek po ojcu. Nie wiele uzyskuje od rodziny don Mariano, zaledwie skromną rentę „na odczepkę". Po trzynastu latach Flora wraca do Paryża, gdzie wydaje książkę ciekawie napisaną, barwnie przedstawiającą jej przeżycia, małżeństwo, jego rozbicie, podróże, romans z kapitanem statku. Ta autobiograficzna powieść zatytułowana jest „Wędrówki pariaski". Bo pariaską, kobietą upokorzoną, której nie bronią prawa, wyrzuconą poza nawias społeczeństwa, z piętnem bękarctwa, nieszczęśliwą czuła się ta kobieta, nie będąca w stanie wywalczyć sobie spadku i praw po ojcu.

Chazal jest w tym czasie już nędzarzem i niemal szaleńcem. Wykrada Florze ich córkę Alinę (to ona właśnie będzie później matką Gauguina). Oskarżony przez Florę o próbę zgwałcenia córki, Chazal zostaje aresztowany, a następnie z braku dowodów winy, zwolniony. Oszalały z zazdrości, opętany nienawiścią do Flory strzela do niej na ulicy du Bac. Zostaje skazany na dwadzieścia lat więzienia.

Flora ma teraz trzydzieści lat. Rozgłos jaki przyniósł jej strzał Chazala sprawia, że „Wędrówki pariaski" zostają natychmiast rozkupione. Flora zdobywa sławę i uznanie jako pisarka. Wkrótce też napisze nową powieść pt. „Méphis". Współpracuje z pismami literackimi, przebywa w środowiskach artystycznych, literackich, intelektualnych. Staje się zagorzałą feministką. Walczy o prawa dla kobiet. Jej osobiste nieszczęścia i niepowodzenia, długoletnia nędza, sprawiają, że czuje się ofiarą społeczeństwa, które pragnie zmienić. Zbliża się do fourierystów, socjalistów utopijnych, krytykujących kapitalizm. Jeśli przedtem upominała się jedynie o prawo do szczęścia dla kobiet, teraz Flora coraz bardziej się radykalizując poszerza swe zainteresowania społeczne, walczy piórem i słowem o wyzwolenie socjalne robotników. W roku 1840 ukazuje się jej książka pt. „Przechadzki po Londynie" w której przedstawia nędzę robotników angielskich. Robotnicy — głosi Flora — by wywalczyć swe wyzwolenie muszą się złączyć w sposób mocny i nierozerwalny. Jakże to stwierdzenie jest bliskie hasłu, które w kilka lat później sformułują Marks i Engels: „Proletariusze wszystkich krajów łączcie się!"

Flora swoje cerdo polityczne wyrazi w roku 1843 w broszurze zatytułowanej „Jedność robotnicza". Odbywa agitacyjne podróże po Francji, przemawia do robotników w wielu ośrodkach przemysłowych. Siedzi ją policja, nierzadko rozpędzając zebranych. Nadludzka aktywność Flory wyczerpuje jej zdrowie. Umiera mając lat 41 w dniu 14 listopada 1844 roku. Aby uczcić jej pamięć robotnicy z własnych składek ofiarowują na jej grób kolumnę z białego marmuru.

Ostatnio niemal równocześnie ukazały się w Paryżu dwie książki o życiu, twórczości i

Flora Tristan

działalności tej bojowniczki o realizację haseł równości i wolności, o wyzwolenie społeczne warstw uciemiężonych. Jean Baelen wydał „Życie Flory Tristan", a Dominique Desanti napisała „Flora Tristan, la femme revoltée". Są to pierwsze obszerniejsze opracowania na temat Flory od roku 1925 kiedy to Jules — L. Puech wydał w języku francuskim „Życie i dzieło Flory Tristan".

Obie ostatnio wydane książki omówiła szeroko prasa francuska przypominając postać pisarki i rewolucjonistki, babki Gauguina, po której wielki malarz odziedziczył chyba swój żywiołowy temperament artystyczny, fantazję życiową i bezkompromisowość postępowania.

JANUSZ SKOSZKIEWICZ

PRZEŚCIGOŚĆ teraźniejszość

Z ZAGADNIEŃ WYBORU TRADYCJI

Stosunek do historycznych rocznic jest żywym świadectwem dokonywania wyboru tradycji. Nie świętujemy, ba nawet nie przypominamy sobie wszystkich, choćby tylko „okrągłych" ileś — tam — leci ważnych wydarzeń z naszej narodowej przeszłości, przywodzimy zaś na pamięć tylko niektóre z nich, do których w ten czy inny sposób nawiązujemy. Czynimy tak nie dlatego, że owych rocznic, chociażby tylko „pełnych", byłoby dla ewentualnego obchodzenia stanowczo zbyt wiele, wielekroć więcej, niżbyśmy to mogli znieść. Jak niegdyś nasi przodkowie, tak samo i my dokonujemy wyboru tylko pewnych wydarzeń dziejowych, tych, które uważamy za istotne z naszej dzisiejszej, współczesnej perspektywy. Wybitny historyk francuski Fernand Braudel powiedział kiedyś, że współczesnego człowieka, a także historyka, interesują w przeszłości przede wszystkim te wydarzenia, które... miały obfite potomstwo, zrodziły inne, przez które łączą się z naszą teraźniejszością. Ta ostatnia bowiem, nie zaś rola danego zdarzenia w dawno minionych czasach, decyduje o dokonywanych przez nas wyborach.

Legenda i tradycja konfederacji barskiej: mimo przypadającego w tym roku dwóchsetlecia jej upadku, współczesna perspektywa nie skłania nas do ogarnięcia jej naszym własnym wyborem. Współczesna nauka historyczna boleśnie odarła konfederację z urokliwego kostiumu legendy, jaka wokół niej narosła. Widzi w niej przede wszytkim manifestację konserwatywnej szlachetczyzny i wychodzący z niej reakcyjny w swojej wymowie protest przeciwko temu wszystkiemu, co nowego wprowadzono w Polsce w poprzedzających ją latach. Tradycja barska jest antytezą reformatorskiego Oświecenia i ta ostatnia, znacząca się nazwiskami Stanisława Staszica, Hugona Kołłątaja i tylu innych wielkich statystów epoki, znalazła poczesne miejsce w naszym współczesnym wyborze tradycji.

Dlaczego niegdyś wyniesiono Bar na najwyższy cokół narodowej pamięci? Dzisiejszy historyk doszukuje się przyczyn popularności ruchu barskiego przede wszystkim w tym, że „byli to „nasi" bijący się z wrogą armią".

Legendę tę stworzyła wielka polski literatura doby romantyzmu. Mitotwórcza rola literatury: problem równie wielki, co niechętnie dostrzegany. Szczególnie u nas, gdzie literaturę uważano za najdoskonalszy wyraz „duszy" narodu, jego sumienie i serce. Ale właśnie ta nadzwyczaj wysoka ranga społeczna, jaką zyskała u nas literatura w epoce romantyzmu, stwarzała korzystniejszy niż gdzie indziej klimat dla rozwinięcia się również jej... funkcji mitotwórczej.

Osobliwa kariera tradycji i legendy barskiej wśród polskich romantyków znajduje swoje głębsze uzasadnienie w zmianie optyki oglądu tego ruchu, jaka zaznaczyła się po powstaniu listopadowym. Konfederacja, której partyzanci bynajmniej nie od razu dochodzili do formułowania haseł niepodległościowych, z perspektywy doświadczeń epopei napoleońskiej i 1831 r. stawała się symbolem walki narodu, nie szlachty tylko, o własną egzystencję, o prawo do kultywowania tradycji przodków, do niepodległości politycznej.

Temat barski modelowano odmiennie w różnych ideowych orientacjach romantyzmu. W pisarstwie Henryka Rzewuskiego i jego kontynuatorów był on obecny jako akord ginącego, a jakże umiłowanego sarmackiego świata. Szczególną karierę rozpoczęło jednak odmienne ujęcie, mianowicie upatrywanie w konfederacji wydarzenia o szczególnej doniosłości dziejowej, jako momentu zwrotnego w dziejach polskich, otwierającego ich nowoczesny, współczesny dla romantyków okres. Tak właśnie rozumował Wincenty Pol — przeczytajmy choćby tylko jego gawędę „Wieczór przy kominie" — który pisał, że konfederację barską „nazwać można zorzą narodu polskiego". Jeszcze Kornel Ujejski będzie powiadał o Barze, jako o „jutrzence narodu". Coraz częściej pokrywano milczeniem ograniczony do stanu szlacheckiego społeczny zasięg ruchu konfederackiego, który akcentowali wszak demokraci z Joachimem Lelewelem na czele. Tę drogę obierze również Adam Mickiewicz, powiadając, że siły, które zrodziły konfederację barską, wyobrażały „Polskę nową i położyły na zawsze granicę między dawną historią Polski a nowoczesną".

Dzisiejszy badacz wątku barskiego w twórczości poety podkreśla: „Barszczanie są pierwszymi ofiarami walki Polaków o niepodległość, a więc wedle Mickiewiczowskiego rozumienia historii — pierwszym zadatkiem przyszłego wyzwolenia. Na zasadzie wspólnoty walki i ofiary ustanawiał Mickiewicz jedność całego okresu historii Polski, od roku 1768 do 1831".

Oprócz Mickiewicza na liście piewców konfederacji w literaturze polskiej doby romantycznej znajduje się wiele znaczących nazwisk: Juliusz Słowacki, Seweryn Goszczyński, Konstanty Gaszyński, Maurycy Mochnacki, Antoni Gorecki, Dominik Magnuszewski, Lucjan Siemieński, Teofil Lenartowicz i wielu, wielu innych. Wszyscy oni dokonywali w swoich czasach wyboru między dwiema społecznie żywymi ciągami tradycji. Należało się bowiem zdecydować, czy do przyszłego odrodzenia Polski, o którym marzyli, wiedzie droga przez reformy Czartoryskich, Sejm Czteroletni i Konstytucję Majową, a więc oświeceniowa, czy też wywodząca się z ducha konfederacji barskiej droga przeciwstawna — sarmacka. Wybór między jedną z tych dwóch tradycji ani dla Mickiewicza, ni dla innych romantyków, nie był łatwy, stąd ich wahania i rozterki. Bowiem wyborów tradycji nie dokonuje się ani łatwo, ani bezboleśnie.

LEKTOR

ZdarzeniA · I · ZwierzeniA

KULTURA NA CO DZIEŃ

Ostatnio na łamach „Przekroju" toczy się dyskusja na temat kultury na co dzień, czyli t.zw. dobrego wychowania. Dyskusja jest dość ciekawa z dwu powodów. Po pierwsze — nie notuje różnicy zdań — wszyscy są zgodni co do tego, że chamstwa mamy wokół siebie (i w sobie) na kopy. Po drugie — bardzo interesujące jest śledzić, jak różni ludzie pojmują środki zaradcze przeciwko chamstwu.

Najbardziej przemawia mi do przekonania pogląd K. T. Toeplitza, który twierdzi, że „dobrze wychowani" jesteśmy wszyscy. Tylko jedni są „dobrze wychowani", aby łokciami i po cwaniacku przepchać się przez życie — inni są „dobrze wychowani" do przyjmowania rzeczywistości racjonalnie i sceptycznie, kulturalnie i tolerancyjnie wobec innych. Nie jest już winą tych drugich, że w życiu przegrywają z pierwszymi. Tak, jak to mówi ludowe porzekadło, że „z pierwszym jeszcze nikt nie wygrał".

Toeplitz twierdzi, że w wielu środowiskach, cieszących się opinią sukcesu życiowego, obowiązuje właśnie styl „twardziela", „mocnego człowieka" — co oczywiście nie zawsze oznacza mocną głowę. Chociaż... O pewnym dyrektorze usłyszałem opinię pracownika: „To jest naprawdę facet z głową, naprawdę ma chłop głowę, wczoraj wypił z księgowym litra i nic nie było poznać..."

Ale to żartobliwa dygresja. K. T. Toeplitz pisze o środowiskach demonstrujących niewrażliwość i „twardość", lecz nie pisze, jaka na to rada. Rozumiem, jest to po prostu niemożliwe. Nie rozumiem natomiast dlaczego wybitny historyk sztuki profesor i dyrektor znajduje na chamstwo i brak kultury rady zadziwiająco naiwne. Pisze bowiem, że „powinno się zakazywać picia piwa z butelek"... Dobry Boże, oto antidotum godne świętego Franciszka.

Podobne w tonie opinie wygłosiła kiedyś w Łodzi pewna znana poetka. Według niej najlepszym sposobem walki ze zdziczeniem obyczajów byłoby... wydawanie pocztówek z tekstami poetyckimi oraz plakatów z wierszami. Pocztówki miałyby być sprzedawane w kioskach „Ruchu", a plakaty wywieszane na dworcach i w knajpach. „Jakby to było przyjemnie — mówiła znana poetka — gdyby jakiś chłoporobotnik mówił do chłoporobotnicy tekstem Trembeckiego czy Słowackiego, zamiast prymitywnym slangiem".

Niestety. Słuchacze owego wystąpienia, także poeci, określili koncepcję poetki właśnie przy pomocy prymitywnego slangu, mówiąc: „śruba na pełny obrót".

Pomyśli ktoś może, że stroję sobie żarty z ludzi dobrej woli, zatroskanych przecież owym brakiem kultury na co dzień. Otóż nie stroję żartów, po prostu chcę wykazać, że człowiek wrażliwy i kulturalny jest absolutnie bezradny wobec tego zjawiska. Te naiwne rady i bezsensowne pomysły biorą się właśnie z owej bezradności, bezbronności wobec mocnego uderzenia chamskiego obyczaju. W czasach, kiedyśmy o bombie atomowej wiedzieli raczej mało, uczono nas, aby na wypadek eksplozji upaść twarzą w kierunku wybuchu, a potem wstać i otrzepać ubranie z pyłu radioaktywnego.

Eksplozja chamstwa rodzi podobnie bezsensowne instrukcje — nie pić piwa z butelek i wywieszać hasełka z wierszami. Tylko, że w jednym i drugim wypadku takie zabiegi są absolutnie bezskuteczne. Na bombę atomową najlepszym antidotum jest pilnować, aby nie wybuchła. Na chamstwo najlepszym lekarstwem jest nie propagować brutalnych wzorców.

Nie ma więc większego sensu namawiania ludzi, aby byli wobec siebie życzliwi i tolerancyjni, kiedy wokoło nietolerancja i nieżyczliwość jest premiowana i sankcjonowana. W filmie, telewizji, literaturze, w życiu...

Przykład najbanalniejszy z banalnych. W autobusie stoi młody, schludnie ubrany człowiek, tyle, że z długimi włosami. Jakiś starszy facet zaczyna urągać bez powodu, ot, tak sobie: „Jak ty człowieku wyglądasz, co ty z siebie robisz..." Być może ten starszy człowiek czytał nieraz reprymendy pod adresem Mirona Białoszewskiego za jego niekonwencjonalne wiersze, być może czytał reprymendy pod adresem Lidii Zamkow za jej niekonwencjonalną inscenizację „Wesela". Poczuł się więc uprawniony do publicznego żądania, aby wszystko było zrównane do średniej krajowej. Włosy, literatura, sztuka.

W „przekrojowej" dyskusji wybitny socjolog zastanawia się, czy przy ocenie pracownika nie warto jednak, obok walorów zawodowych, brać pod uwagę jego osobistej kultury i manier. Teoretycznie ma rację, tylko — na co zwrócił uwagę Toeplitz — istnieją środowiska, gdzie tradycyjne dobre maniery nie są dobrą rekomendacją, wręcz przeciwnie, budzą podejrzenie o obcość.

I tak oto jesteśmy w błędnym kole. W ocenie sytuacji zgadzamy się wszyscy, wyjść jednak za to kredowe kółko nie sposób, grozi to bowiem dotkliwą fangą w nos.

WIDOK

LEWYM OKIEM!

PRANIE NA SUCHO

Zdaje się, że to w hinduskiej filozofii istnieje zasada, zgodnie z którą mędrzec nigdy niczym się nie denerwuje, pamiętając, że złość przynosi więcej szkody niż przyczyny, które ją wywołały. Hindus nie złości się, kiedy ktoś na siłę wepchnie się przed nim do kolejki. Postoi spokojnie pięć minut dłużej, zamiast zdenerwować się na całe popołudnie i rozjątrzyć różne tam kwasy w żołądku. Potem jeszcze ktoś się wepchnie i jeszcze ktoś i jeszcze pięciu innych, a Hindus stoi i uśmiecha się, aż wreszcie uśmiechnięty pada i następni cwaniacy muszą go odsunąć na bok, żeby nie przeszkadzał.

Mędrzec hinduski z góry zakłada, że w urzędzie nie muszą od razu skutecznie załatwiać jego sprawy. Jego sprawa nie musi być sprawą wszystkich. Gdy mu każą przyjść ponownie za miesiąc, a potem znów za miesiąc, a potem zapytują o co mu chodzi — referuje z uśmiechem swą kwestię i z uśmiechem zgadza się przyjść za następny miesiąc. Aż wreszcie nie wychodzi z biura, tylko wynoszą go tylnymi drzwiami, chudego, budzącego swym widokiem niebezpieczne uczucie litości.

Hindus nie reaguje na zło, które nie dotyczy go wprawdzie osobiście, ale rozgrywa się na jego oczach. Po co? Kiedy pomiędzy krzywdzącego a krzywdzonego wmiesza się ktoś trzeci stając w obronie tego drugiego — natychmiast znajdzie się ktoś czwarty, który uzna obronę za przesadną i wesprze krzywdziciela. Potem ktoś piąty wspiera jedną partię, szósty — drugą, i za chwilę mamy gromadę skłóconych, zdenerwowanych, obrażonych ludzi, z których dziewięćdziesiąt procent nie ma racji, wszyscy się męczą, a nikt niczego nie osiągnie. Krzywda i tak zostanie — albo już została — wyrządzona.

Gdy pani o pewnym (ale nie bezgranicznym) zapasie cierpliwości zagaduje wreszcie księżniczkę w salonie pralniczym, zajętą opowiadaniem koleżance kłopotów rodzinnych, czy może oddać spodnium do prania na sucho, a księżniczka nie przerywając monologu pokazuje energicznie palcem na regulamin wiszący w najciemniejszym rogu lokalu, zaś druga pani wtrąca prędziutko: „jacy ci ludzie niecierpliwi, przecież pani widzi że zajęta, trzeba być człowiekiem", na co pewien pan w berecie powiada, że milczące pokazywanie palcem jest niegrzeczne, a klient nasz pan, po czym jeszcze jedna pani zauważa, że „dziś to każdy chce być panem, a dawniej — każdy sam sobie prał".

A co robi w takiej sytuacji Hindus?

Nic. Hindus stoi z boku i wszystko rozumie. Wszystko, to znaczy że:

1. Funkcjonariuszka pralni może mieć naprawdę kłopoty rodzinne i jest ludzką rzeczą, że pragnie się nimi podzielić z koleżanką.

2. Pierwsza pani chciałaby mieć czysty spodnium, bardzo się śpieszy, dlaczegóż by więc nie miała zapytać, czy może oddać na sucho, pytanie jest moralnie obojętne, logiczne uzasadnione, formalnie prawidłowe, merytorycznie adekwatne.

3. Druga pani chce się podlizać funkcjonariuszce, inaczej nie umie sobie radzić w życiu, a ma spracowane ręce czyli żyje nie po różach.

4. Pan chciałby być otoczony samą grzecznością, to wzruszające, ale to jest życiowy maksymalizm, dlaczego wszyscy mają być grzeczni, niegrzeczni też chcą żyć.

5. Trzecia pani chce się podlizać funkcjonariuszce i drugiej pani, jednocześnie przygadać panu o zbyt wykwintnych wymaganiach, patrzcie go — raz przyszedł do pralni a w domu pewnie żonę bije, znamy ich, proszę pań — udają panów, przed wojną to byli panowie, a tacy jak ten sami prali i nie czekali na niczyją grzeczność.

6. Wszyscy czegoś chcą od funkcjonariuszki pralni, nic więc dziwnego, że z kolei ona chce, żeby wszyscy poszli do diabła i pozwolili jej trwać, czyli w jej rozumieniu — pracować. Takie chętki nadchodzą przecież każdego z nas w różnych godzinach urzędowania.

Hindus czuje się wzbogacony o szereg cennych uogólnień, dumny ze swej postawy mędrca i swego współczucia dla ludzi, miażdżonych walcem przyziemnej rzeczywistości. Zwłaszcza ten walec napawa Hindusa intelektualną satysfakcją. Przekłada paczkę z brudnymi gatkami pod drugą pachę i wychodzi.

Takiemu to dobrze!

ĆWIEK

Wydawca: Łódzkie Wydawnictwo Prasowe RSW „Prasa" w Łodzi Adres redakcji, ul. Piotrkowska 96, telefony: 244-79, 217-98 oraz 293-00 wew. 29, 39, 40 i 41. Warunki prenumeraty: miesięcznie 6.50 zł. kwart. 19.50 zł. Redakcja nie zamówionych rękopisów nie zwraca, zastrzega sobie również prawo skrótów. Prenumeratę przyjmują wszystkie placówki pocztowe, listonosze oraz PUPiK „Ruch" — z zaznaczeniem na „Odgłosy". Druk Prasowe Zakłady Graficzne RSW „Prasa", Łódź, ul. Żwirki 17. Zam. 2429. D-7.